Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

WIEM WSZYSTKO

50 GR

INFORMACYJNY TYGODNIK AKTUALNOŚCI

Nr. 27 | Warszawa, Niedziela 26 lipca 1936 r. | Rok I

NASZ BILANS...

Nie mamy zamiaru wypisywać sobie panegiryków, ani tem mniej programów na przyszłość.

Nie zwracamy się z żadnym apelem — ani do czytelników, ani do prasy, uporczywie nas bojkotującej.

Pragniemy jedynie zaznaczyć, że w pierwszem półroczu swego istnienia „Wiem Wszystko" jedyne z całej prasy podało — względnie pierwsze naświetliło — następujące sprawy:

1) AFERĘ B. STAROSTY MURMYŁŁY — w artykułach p. t. „Smutna „sława" p. Murmyłły" i „Od zarazy i takiego starosty" z dn. 19 kwietnia r. b. (Nr. Nr. 13 i 19), a więc na dwa i pół miesiąca przed rozpoczęciem dochodzenia w tej sprawie i pierwszemi wzmiankami na ten temat w prasie.

2) TAJNIKI SZPIEGOSTWA I DZIAŁALNOŚCI „GESTAPO" W POLSCE — „W każdym domu — wróg! Brunatne macki „Gestapo" nad Polską" (Nr. 19 z dn. 31 maja r. b. — potwierdzone w całej rozciągłości nietylko przez proces katowicki i następne, lecz przez alarmy prasowe w dniach ostatnich.

3) WEWNĘTRZNE STOSUNKI W K. P. P. — w artykule „Dywidendy od... idei. Ponure bagno czerwonej konspiracji" (Nr. 16 z dn. 10 maja, r. b.) — potwierdzone autorytatywnie w sensacyjnym artykule J. Łobodowskiego („Uzurpatorzy Wolności" — „Wiadomości Literackie" z 19 b. m.).

4) KULISY USTĄPIENIA B. PREZESA BANKU POLSKIEGO — Wróblewskiego — „Dzieje upadku prez. Wróblewskiego" (Nr. 6 z dn. 1 marca r. b.) w miesiąc później ostrożnie i półgębkiem omawiane i potwierdzone przez prasę codzienną.

5) REWELACYJNĄ ZMIANĘ STOSUNKÓW P. P. S. DO ZAGADNIEŃ NACJONIALIZMU I ANTYSEMITYZMU — w artykule „I my nie chcemy Żydów!" (Nr. 22 z dn. 21 czerwca r. b.) przyczem sensacyjne potwierdzenie i dalsze szczegóły drukujemy w numerze dzisiejszym na str. 2-ej.

6) CHAOTYCZNĄ GOSPODARKĘ UBEZPIECZALNI SPOŁECZNEJ, w artykule p. t. „Chory umiera... Ubezpieczalnia twierdzi: „zdrów" (Nr. 24 z dn. 5 lipca r. b.), o czem obszerniej piszemy na str. 2 niniejszego numeru.

7) TAJEMNICĘ „BŁYSKAWICZNEGO" POGRZEBU OFIAR ZAJŚĆ KRZECZOWICKICH — „Komentarz do Nowosielec" (Nr. 25 z d. 12 lipca r. b.) — przyczem prokuratorski nakaz ekshumacji zwłok — w pełni potwierdził wagę naszych argumentów.

8) WŁAŚCIWE METODY I KULISY ARESZTOWANIA PREZESA STR. LUDOWEGO NA POW. PRZEWORSKI — JEDLIŃSKIEGO — (w tymże artykule i numerze) — zwolnionego bezpośrednio po naszym artykule.

9) DESTRUKCYJNĄ AKCJĘ T. ZW. „GRUPY PUŁKOWNIKÓW" PRZECIW... RZĄDOWI I SPOŁECZEŃSTWU — „Marsz na Warszawę (Nr. 26 z dn. 19 lipca) — nie odpartą ani jednym słowem na łamach odnośnej prasy!

Wpisując powyższe sukcesy do bilansu naszej półrocznej pracy — widzimy w nich bodziec i drogowskaz dalszej bezkompromisowej upartej walki w twardej służbie publicystyki polskiej, tem twardszej dla nas, że wszyscy ci, których obliczę „moralne" właściwie naświetliliśmy, nie szczędzą najpodlejszych, najhaniebniejszych inwektyw.

Cmentarz czy Targowica?

Rybarski i Regnis w jednym stali domu...

Czytaliśmy kiedyś, stosunkowo niedawno, artykuł w jednym z czołowych organów prasowych stolicy, że **między „Warszawskim Dziennikiem Narodowym" i „Naszym Przeglądem" istnieje jakaś niewytłumaczalna więź,** polegająca na tem, że co jeden z wymienionych organów napisze jednego dnia, to drugi następnego dnia powtarza niemal dosłownie to samo i vice versa.

Przyznajemy, że byliśmy nieco zdziwieni tego rodzaju zestawieniem.

Ale o słuszności takiego stanowiska przekonała nas „ocena" okólnika p. premjera Składkowskiego
w sprawie stanowiska Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych, gen. Śmigłego-Rydza
w hierarchji państwowej. — I jeden i drugi organ prasowy ocenia ten ewenement z czysto suchego i formalnego punktu widzenia i widzi w tem ni mniej ni więcej, tylko
zmianę... konstytucji w drodze okólnika prezesa Rady Ministrów.

Że takie zdanie wygłasza organ żydowskiego nacjonalizmu, w którego interesie, jak sądzimy,
nie leży zbyt silna Polska
o własnej i od nikogo niezależnej myśli politycznej, wcale nas nie dziwi, ale że organ Stronnictwa Narodowego, które, jako symbol współczesnej Polski, wysunęło
miecz Chrobrego,
zajmuje stanowisko identyczne, to już zakrawa na groteskę! —

Miecz Chrobrego! Co za wspaniały symbol Odrodzonej Polski, jaka przedziwna więź duchowa w znaczeniu **nie brutalnej agresywności, ale moralnego spoidła Narodu,**
który nigdy na przestrzeni wieków swojej górnej i chmurnej przeszłości nie pragnął cudzej własności, ale zarazem swojej strzegł zazdrośnie i zapamiętale. —

A jeśli o swoich obowiązkach w stosunku do ziemi rodzinnej zapomniał, to działo się to właśnie wtedy, kiedy owego Miecza Chrobrego,
czy jako symbolu, czy jako siły rzeczywistej zabrakło. —

I z tych oto symbolicznych, czy rzeczywistych braków zawsze i nieuchronnie wyrastały tragiczne i bolesne momenty dla Narodu, który szeroko otwierał oczy i nie mógł zrozumieć, skąd i dlaczego klęski i upokorzenia Nań przychodzą. —

Bywały w dziejach Polski momenty, w których szlachcic, wychodząc z pługiem w pole, zabierał ze sobą, jeśli nie w znaczeniu faktycznem, to w symbolicznem — moralnem,
miecz — znak gotowości bojowej.—

To były świetlane lata i epoki dziejów Rzeczypospolitej. — Ale były i takie lata, kiedy tenże szlachcic przeznaczał miecz na... kurzą grzędę. —

I to były lata upadku i upokorzenia. —

Szczycimy się dziś Chrobrym, Bolesławem Krzywoustym, Kazimierzem Wielkim, Jagiełłą, Stefanem Batorym, Janem Sobieskim, Tadeuszem Kościuszką, Józefem Piłsudskim i nikomu z nas do głowy nie przychodzi rozważać z punktu widzenia czczej formalistyki, **czy Ci Wodzowie Narodu w swych codziennych poczynaniach byli w zgodzie z literą prawa, czy też nie, czy ich postanowienia odpowiadały takim, czy innym paragrafom, czy też pozostawały z nimi w sprzeczności.**

W stosunku do przeszłości uznajemy zasadę rzymską: „salus Reipublicae suprema lex esto", ale na uznanie tej zasady w teraźniejszości nie stać nas zupełnie. —

Gdyby dziś wstał z grobu Nieznany Żołnierz
z pod Olszynki Grochowskiej,
to przypuszczalnie, a nawet napewno modliłby się w ten sposób:
„Natchnąłeś Boże cały Naród wolą zwycięstwa i bezgranicznego poświęcenia. — My żołnierze, strażnicy świętej wolności tego Narodu, widzący w krótkim śnie, między jedną, a drugą bitwą Wielką i Odrodzoną, kładliśmy się pokotem na sercem i duszą umiłowanych zagonach i oddając za Piastową ziemię tchnienie ostatnie, wgryzaliśmy się w Nią smiertelnym skurczem naszych pokrwawionych i całodziennym bojem zmęczonych dłoni, by Jej nie oddać najeźdźcom. A serca nas wszystkich biły jadnakowo. — Ale za co Wielki Boże zamściłeś się na nas, żeś nam nie dał wodza? Dlaczego zażądałeś od nas tyle trudu, tyle poświęcenia i tyle serdecznej krwi i za to wszystko zesłałej... tylko śmierć".

A Nieznany Żołnierz z pod Kostjuchnówki, Polskie: Góry, Lwowa, Kijowa, Wilna, Warszawy modliłby się:
„Pomazałeś nas Boże krwią bohaterów z pod Olszynki Grochowskiej i natchnąłeś nas ich wiarą w zwycięstwo. — Byliśmy nieraz śmiertelnie znużeni, konaliśmy w bólu i męce, ale radośnie, bez protestu, boś nam dał Wodza, który wywiódł Naród z domu niewoli i upokorzenia, przywrócił Mu Honor i Wolność. Dzięki Ci Boże za Wodza i za naszą śmierć"!

A po tych modlitwach „Nasz Przegląd" i „Warszawski Dziennik Narodowy" i że konstytucja, że okólnik, że paragraf, i że wreszcie nadtem wszystkiem
trzeba się zastanowić. —

A no dobrze! Zastanowimy się... nad pozytywizmem wyrosłym... na „zrozumieniu i wyczuciu" idei powstańczej z 1863 roku i...
nad złotą szablą podarowaną Carowi
i... nad trójlojalizmem i nad ucieczką w kierunku Poznania i nad innemi podłościami. — Zastanowimy się, my młode pokolenie, i wyciągniemy z tego właściwe wnioski. —

Zastanowimy się, czy posłuchać Regnisa i Rybarskiego i czy pisać traktaty na temat
niezgodności stanowiska Wodza z paragrafami
i czy zamienić miecz... na kurzą grzędę, czy też przed pójściem do biura, fabryki, do polnej orki sprawdzać codziennie czy...
broń nabita i czy Wódz Naczelny wzywa już do szeregu,
chociaż... konstytucja o tem nic nie mówi. —

Ale wy Panowie odejdźcie... jaknajprędzej, bo Polsce już nic nie dacie. — Ona się zresztą od was niczego nie spodziewa, oprócz...
roztrząsania paragrafów.

A to zalatuje... cmentarzem! I przypomina... Targowicę. **W.**

ROBOTNICZE NOWOSIELCE

P. P. S. ZMIENIA FRONT

Wbrew wszystkim tradycjom i kanonom, sezon polityczny nie uległ w tym roku przerwie — przeciwnie, wygląda jakby nieludzkie upały zaktywizowały go i przyśpieszyły ponad normę, zamierające zwykle na okres ogórków letnich, tętno.

Manifestacja w Nowosielcach, „komentarz" krzeczowicki, Myślenice, proces radomski, zajścia w Mińsku Mazowieckim, oto bilans najważniejszych sensacji — w okresie letnim w polityce wewnętrznej.

Nie mówiąc już o sprawie gdańskiej, pakcie niemiecko - austrjackim i wszystkich innych „zaskoczeniach" zagranicznych.

ROCZNICA „KRWAWEJ ŚRODY"

Do najsensacyjniejszych wydarzeń należy zapowiadana na sierpień manifestacja P. P. S. C. K. W. pod pozorem uczczenia rocznicy „Krwawej środy" warszawskiej.

To wspominanie „lat górnych i chmurnych" właśnie teraz, wymaga nieco obszerniejszego omówienia.

Omówienie to jest tem bardziej potrzebne, że według krążących pogłosek w obchodzie ma wziąć udział szereg wybitnych postaci naszego życia politycznego, którzy swą młodość górną a chmurną pod czerwonemi sztandarami P. P. S. przeżywali.

DWA BŁĘDY

Ale — reverons a nos moutons, czyli powróćmy do naszych baranów, jak mówią Francuzi.

Otóż P. P. S. znalazła się ostatnio w dość specyficznej sytuacji: wywiad **Ks. regenta Lubomirskiego w „Buncie Młodych" bardzo jaskrawo, niezwykle ostro podkreślił... brak orjentacji i... brak dobrego wywiadu partyjnego w r. 1926 — manifestacja chłopska w Nowosielcach wykazała te same mankamenty w r. 1936. —**

Przykro jest dowiedzieć się, że dziesięć lat temu nadstawiało karku i angażowało partję dla interesów konserwy i że tylko zawdzięczając nieróbstwu i lenistwu „panów magnatów" uniknęło się gruntownej i fatalnej kompromitacji.

Jeszcze nieprzyjemniej skonstatować, że się przez dziesięć ciężkich i gorzkich lat niczego nie nauczyło, że chroniczny brak orjentacji doprowadza do identycznych gaff.

Nikomu nie mogło pomieścić się w głowie dlaczego P. P. S. nie wysłało delegacji do Nowosielec? Ludzie doszukiwali się tysiąca najbardziej skomplikowanych i misternych powodów i nikomu nie wpadło na myśl, że **poprostu sztab z Wareckiej przypuszczał, iż na błoniach nowosielskich odbędzie się... uroczystość rządowa, zorganizowana przez p. starostę.**

Wyjaśnił to dokładnie jeden z działaczy partyjnych. Na pytanie zaś, czy C. K. W. nie zasięgał informacji— odparł dumnie i krótko: **„Proszę panów, taktykę stosuje się do ideologji, a nie do... — informacji — to jest nasza zasada!"**

Ano można i tak. Choć w pierwszej chwili słuchaczy aż zatkało! Bo niby: partja i niby opozycja i to ostra, zdecydowana opozycja, a tu raptem— życie sobie, wypadki, swoją szosą — a my, towarzyszu — „splendid isolation": Warecka, popiersie Lasalle'a i zbiór dzieł Karola Marksa! —

A skutki błędu nie dały na siebie czekać zbyt długo. —

Prymat czerwonego sztandaru kroczącego dotąd na czele zwartych szeregów lewicy polskiej — zmalał nagle, skurczył się i przygasł. W morzu zielonych chorągwi chłopskiej falangi zatracił się i zbladł szkarłat robotniczych znamion bojowych. Inicjatywa przeszła w inne ręce.

Zielone sztandary rozszumiały się łomotem twardych kroków stutysięcznej masy, zadygotały od okrzyków, zaszeleściały papierem rezolucji i — wkroczyły w życie polityczne kraju, nie jako pełen podziwu uczeń i naśladowca nieudolny sprężystej organizacji partyjnej i zdyscyplinowanych, wciśniętych w „rąbane" tezy programow szeregów „uświadomionych towarzyszy" — lecz jako równorzędny organizacją i karnością mas, a nieskończenie potężniejszy siłą i rozbudzoną świadomością — partner.

Niedość na tem. — Nie przebrzmiały jeszcze echa komentarzy prasowych na temat uśmiechu Naczelnego Wodza, gdy oto zielone sztandary załopotały zapowiedzią nowej, potężniejszej jeszcze manifestacji sierpniowej, w rocznicę czynu ludowego.

Prymat lewicy polskiej zmienił barwę — ze szkarłatnej przeszedł w kolor zielony.

W tej sytuacji sztab na Wareckiej postanowił zamanifestować żywotność partji.—Przewertowano roczniki z pierwszej ćwierci bieżącego stulecia, przedyskutowano wszelkie możliwe rocznice i zdecydowano urządzić obchód „krwawej środy".

ROBOTNICZE NOWOSIELCE

Był w Nowosielcach — Generalny Inspektor? — To i tu będzie! sejmu i senatu nie było? — Nie będzie i tu! Także policji, ludzi z bezpieczeństwa, starostów, wojewodów, „ani żadnej rzeczy, która jego jest"!

Ano — zobaczymy... Narazie wre praca przygotowawcza — naturalnie: w ścisłej konspiracji i przy zasadzie „splendid isolation".

Ale nie tu leży sensacja najgłówniejsza!

SZACH CZERWONEJ MOSKWIE...

Sensacja pierwszej wody jest, iż na owych „robotniczych Nowosielcach" nie będzie żadnego z działaczy „Zjednoczonego Frontu", nie będzie nikogo, kto w ten czy inny sposób skontaktowany był i związany z szeregami K. P. P., nikogo ze skomunizowanych leaderów lewego skrzydła partji!

„Robotnicze Nowosielce" to szach czerwonej Moskwie, to ostre i brutalne oderwanie się od sugestyj Kominternu i publiczne przekreślenie możliwości koncepcyj rokowaniowych i ugodowych z antypaństwową partją!

...I SZACH CZARNEJ EGZEKUTYWIE!

Ale to jeszcze nie wszystko! — Ostry skręt taktyczny P. P. S.'u bije i w inny odcinek frontu politycznego — w czarną masę żydowskiej komuny!

Na zebraniach O. K. R'ów, w sztabach dzielnicowych — zapadły niedwuznaczne i sprecyzowane dyrektywy pod adresem C. K. W.: „Zerwać z filosemickim kursem; zaprzestać walki z nacjonalizmem polskim w imię obrony żydostwa, bo doprowadza to do paradoksalnej sytuacji — wzmacniania nacjonalizmu żydowskiego!"

To stanowisko jest wynikiem konsekwentnej polityki żydowskich stronnictw lewicowych, stojących przy każdej okazji ramię przy ramieniu z organizacjami nacjonalistycznemi. Ostatecznie zorjentowano się w tej grze i postanowiono odciąć się na przyszłość radykalnie od roli... aryjskiej „tarczy Dawida".

WALKA O ŁÓDŹ

Nie bez znaczenia były tu nadchodzące wybory łódzkie, gdzie pójście P. P. S. z Bundem — dawałoby wymarzony atut do rąk endecji.

C. K. W. wydał dyspozycje.—Łódź odpowiedziała całodziennemi obradami delegatów fabrycznych, którzy... nie powzięli żadnej wprawdzie uchwały, ale nie odrzucili dyrektyw centrali. I to przechyliło szalę.

ZAMACH STANU NA WARECKIEJ

C. K. W. zagrał wielką grę. — O. K. R. Lwów został rozwiązany. Czystka wypędziła z szeregów partji wszystkie komunizujące jednostki. Posypały się protesty. Warecka pozostała nieugięta. Lwów warczał, groził, szarpał się i... uległ. Bitwa została wygrana.

C. K. W przygotował następne natarcie: kierownictwo polityczne odtąd ma być rezerwowane wyłącznie i bez dyskusji dla centrali.

Związki Zawodowe winny się zająć „pogłębieniem więzi i spoistości organizacyjnej", pracą jedynie zawodową i konsolidacją oraz „rozbudową sfery wpływów".

Znając stosunki w P. P. S'ie, docenić można wag- tego posunięcia — jest to conajmniej zamach stanu! Na uświęcone tradycją przywileje i wolności ośrodków i organizacyj partyjnych padła stalowa obręcz dyktatury C. K. W.

Tem posunięciem P. P. S. bezapelacyjnie stanęła na czele wszystkich organizacyj robotniczych kraju, jako zwarta i potężna falanga.

PRZEJŚCIE DO ASEMITYZMU

Konsekwencją rozbratu z ideą „Zjednoczonego frontu" musiała być zmiana w stosunku do zagadnienia Narodu i antysemityzmu.

W partji coraz bardziej nurtował i utrwalał się pogląd, że o ile komunizm POLSKI doprowadzić może do zmiany ustroju społecznego w ramach państwowości POLSKIEJ, to komunizm propagowany przez żydów wiedzie nieuchronnie do POLSKIEJ REPUBLIKI SOWIECKIEJ sfederowanej z Z. S. R. R. pod supremacją Kominternu.

Drugim czynnikiem decydującym był fakt, iż niemożliwym w Polsce przyszłości do utrzymania jest łańcuch pośrednictwa, duszący stalową pętlą wytwórcę i konsumenta — czyli w pierwszej linji proletarjusza wiejskiego i miejskiego. Że zaś 90% handlu i 85% rzemiosła „przetwórczego znajduje się w rękach żydowskich — stąd prosty wniosek, że filosemityzm partji jest zaprzeczeniem nietylko żywotnych interesów proletarjatu, ale ideologji gospodarki planowej, czy choćby narazie spółdzielczej.

Skracanie łańcucha pośrednictwa jest zaś mówiąc otwarcie wyrokiem śmierci dla masy żydowskich handlarzy, w których interesie leży jaknajdłuższe rozbudowanie jego ogniw.

W tej sytuacji C. K. W. porzucił zdecydowanie linję filosemicką. Nie znaczy to by wszedł na drogę antysemityzmu. Poprostu jest asemicki. Tu słynne „splendid isolation" jest stuprocentowo na miejscu!

POLSKA PARTJA SOCJALISTYCZNA

Sens tych niezwykle głębokich i istotnych przemian prowadzi do regeneracji odzyskania pełnego znaczenia nazwy POLSKA Partja Socjalistyczna.

Rok 1936 postawił polski socjalizm na wyżynie 1905 roku — roku bohaterskich walk o Wolność i Niepodległość Ojczyzny.

W poszumie starych bojowych sztandarów dumnie wkracza, romantyzmem legendy owiana P. P. S. na nowe tory walki o przyszłą Polskę — Polskę ludzi pracujących i Polskę sprawiedliwości społecznej.

Konrad Jeżycki.

NASZ SUKCES, ALE...

jeszcze nie wszystko jest w porządku

W jednym z poprzednich numerów „Wiem Wszystko", poruszyliśmy sprawę p. S. T., któremu Ubezpieczalnia Społeczna w Warszawie odmówiła prawa leczenia się w Truskawcu na jej koszt, wbrew opinji lekarzy prywatnych i wojskowych.

Dzisiaj możemy donieść, że „Wiem Wszystko" odniosło zwycięstwo. Ubezpieczalnia wyznaczyła p. S. T. nową komisję, która uznała, że p. S. T. jest bardzo poważnie chory na nerki i serce. Uznano też wyjazd p. S. T. do Truskawca za bardzo pilny.

Zwycięstwo to jest jednak połowiczne z tego względu, że administracji Ubezpieczalni nie jest pilno. Zakomunikowano więc choremu, że może wyjechać dopiero we wrześniu, gdyż obecnie wszystkie przewidziane miejsca są już zajęte.

Dlaczego wszystkie miejsca Ubezpieczalni w miejscowościach uzdrowiskowych są zajęte, może wyjaśni nam następujący list:

Z. U. S. Warszawa, Czerniakowska 231 znak 4438 — 2616/36 — K. U. 14175. Nadawca Zakład Ubezp. Społ. w W-wie. W-wa 4/7. — 1936 r.

p. E. W. — W-wa, Złota 35/10.

Przedmiot: Decyzja o zastosowaniu leczenia.

Z. U. Sp. zawiadamia o zastosowaniu wzgl. Pani leczenia zapobiegawczego z mocy art. 61 rozp. P. R. o ubezp. prac. umysł. (Dz. U. R. P. Nr. 106, poz. 911 z 1927 r. nr. 27, poz. 229 z 1933 r. nr. 39, poz. 34 z roku 1934) w zakładzie leczniczym „Grażyna" w Truskawcu na przeciąg 31 dni, poczynając od dn. 1/8 1936 do dn. 31/8 1936 roku włącznie, na warunkach następujących:

1. Zgłosić się 1/VIII — 36 r. w zakładzie na koszt własny.
2. ponieść część kosztów utrzymania w sumie 30 złotych.
3. powrót na koszt własny.

Lekarz główny:
dr. St. Rudziński.

Tymczasem, według zebranych przez nas informacji, p. E. W. jest osobą samotną, doskonale sytuowaną materjalnie, która otrzymawszy od instytucji bankowej urlop na miesiąc sierpień, postanowiła spędzić go beztrosko w jednej z najpiękniejszych miejscowości Polski, a przytem naturalnie nie na swój koszt.

Warto bowiem dodać, że p. E. W. **w przeciągu ostatnich dwuch lat ani razu nie chorowała, w każdym razie** nie w takim stopniu, aby musiała leżeć w łóżku lub też musiała nie opuszczać mieszkania, **choćby przez jeden dzień!**

Udzielanie więc p. E. W. przywileju wesołego spędzenia czasu w Truskawcu, na koszt Ubezpieczalni, **zakrawa na ironję.** Również na ironję zakrawa wyznaczenie miesiąca września na kurację dla p. S. T.

P. S. T. bowiem choruje już od paru miesięcy, musi więc z dn. 1 września zjawić się w swem biurze. W przeciwnym bowiem wypadku, na

(Dokończenie na str. 4-ej).

A NA TRĄBCE GRASZ?

Panowie, tu idzie o życie człowieka!

Zdarza się w życiu czasami, że człowiek przekroczy czterdziestkę (piękny wiek!) i znajdzie się na bruku. Może **marzył w młodości o sławie i fortunie, albo skromnie chociaż o domku z ogródkiem.** Rzeczywistość przekreśliła wszystkie nadzieje.

Pierwotne dobre zarobki minęły, a gdy 40 lat życia przeszło, ze zdumieniem człowiek spogląda za siebie i widzi zmarnowane życie.

Żona i dzieci wołają: „Jeść!". A tu tego jedzenia dać nie można, bo pracy niema.

Coraz usilniej zabiega o posadę i wszędzie nic. Wszędzie z uśmiechem uprzejmym oglądają podanie, **patrzą na referencje i... nic.**

Jeszcze w lutym b. r. jednemu doskonałemu organizatorowi i specjaliście propagandowem w dziale wydawniczym, zakomunikowano, że w jednym z polskich biur podróży będą wolne stanowiska.

Znając świetnie całą Polskę i szereg krajów zagranicznych, władając biegle językiem niemieckim, francuskim i rosyjskim, oraz mogąc wykazać się umiejętnościami organizacyjnemi, postanowił starać się o jedno ze stanowisk w tem biurze podróży.

Zdając sobie jednak sprawę, że **dobra protekcja to prawie wszystko,** jeśli nie wszystko, do podania, w którym wymienił wszystkie dotychczas zajmowane kierownicze stanowiska, załączył, niezależnie od szeregu referencyj, jeszcze list P. O. W. K. Nr. 3 z podpisem wiceministra Schaetzla, zalecającym swego członka.

Tak zaopatrzony, z pewną miną złożył podanie w dyrekcji biura podróży.

Mija jeden tydzień, drugi, jeden miesiąc, dwa, a odpowiedzi żadnej nie widać.

Zdziwiony, zwraca się wreszcie przed paru dniami do jednego z dyrektorów biura, którego w międzyczasie poznał, z zapytaniem, jak się przedstawia sprawa jego podania.

Między tymi panami wywiązała się, mniej więcej, tego rodzaju rozmówka:

— Panie dyrektorze, czy mogę wiedzieć, jak panowie rozpatrzyli moje podanie?

— Proszę pana, pan jest wybitną siłą organizacyjną, a my tymczasem przyjmujemy tylko młodych ludzi. **Po trzech miesiącach bezpłatnej praktyki, jeśli jest zdolny, angażujemy go z gażą 80 — 100 złotych miesięcznie.** Pan naturalnie tych warunków nie mógłby przyjąć?...

— Zapewne. Mając żonę i dzieci, praktykować bezpłatnie 3 miesiące nie mogę. A przyjąć mogę każde najmniej płatne stanowisko, byle miałbym szanse na niem wybić się.

— A pozatem u nas wymagana jest znajomość przynajmniej jednego języka. Czy pan zna francuski.

— W podaniu nadmieniłem... znam.

— A niemiecki?

— Znam. Także rosyjski. Znam przytem wszystkie większe miasta Polski, a nawet szereg małych miejscowości, mających znaczenie historyczne lub turystyczne. Mogę prowadzić także wycieczki do szeregu krajów zagranicznych, które dobrze znam, jak np. Rumunja, Węgry... Najgorzej, muszę się przyznać, znam Warszawę, choć w niej mieszkam.

Dyrektor odetchnął z widoczną ulgą:

— A widzi pan. Nam potrzeba osób, znających doskonale Warszawę. Z resztą Polski łatwo się zapoznaję...

„Delikwent" wstał i przeprosił uprzejmie dyrektora, że niepotrzebnie zajmował mu czas. Zrozumiał bowiem, że gdyby powiedział, że zna dobrze Warszawę, to wtenczas napewno konieczna byłaby znajomość języka, którego nie umie, albo może umiejętność poprowadzenia wycieczki do Abisynji...

Wiedział, że podanie jego odrzucono, **szukano tylko pretekstu odmowy.**

Nie rezygnując jednak ze swych starań, postarał się o to, że przyjął go naczelny dyrektor tej instytucji.

Przyjęto go naturalnie bardzo grzecznie, ale **wyrażono zdziwienie, że stara się dopiero teraz, w lipcu, o posadę, kiedy przyjmuje się nowych pracowników tylko w styczniu i lutym.**

— ...bo teraz, pan rozumie, jesteśmy w pełnym sezonie, a w styczniu...

Naszemu przyjacielowi opadły ręce, zwłaszcza, kiedy życzliwi poinformowali go, że **ta instytucja przyjęła znowu dwuch pracowników — żydów...**

Teraz więc nasuwa się pytanie: czem się kierowano w przyjmowaniu jednych, w odrzucaniu drugich? Nie będziemy przecież powtarzali twierdzeń złośliwych osobników, że obecnie można dostać posadę mając protekcję **tylko ministra... I to ministra urzędującego, a nie byłego...**

Nie kierowano się kwalifikacjami. W danym wypadku były one pierwszorzędne. Nie zwrócono uwagi na poparcie swego członka przez tak zasłużoną organizacje jaką jest P. O. W.

Jednocześnie przytem przyjmowano nowych pracowników, dając im różną skalę uposażeń. Zarówno większe pensje, jak i mniejsze.

Czem więc kierowano się przy przyjmowaniu tamtych, a odrzucając podanie tego?

Ma czekać do stycznia? Wolne żarty! W styczniu z pewnością usłyszałby odpowiedź:

— Panie! Teraz nie jest sezon! Przyjmujemy dopiero w sezonie, a więc czerwiec, lipiec...

Kiedy zatem jest, u licha, sezon, w którym angażuje się pracowników i jakich potrzeba kwalifikacyj i protekcyj, aby otrzymać posadę?

Dobrze byłoby, gdyby tego rodzaju instytucje jasno to określiły, wywieszając napisy np. w rodzaju:

— Przyjmuje się pracowników tylko z protekcji urzędujących ministrów...

Inaczej bowiem wyżej omówiona sprawa do złudzenia przypomina smutny monolog Wyrwicza o zawiadowcy i kandydacie na kolejarza, który... nie umiał grać na trąbce.

has.

GIGOLAKI DZIENNIKARSTWA POLSKIEGO

Branża kreuje »sprawozdawców«

Ostatni numer czasopisma „Film" przyniosł wśród natłoku ogłoszeń „branżowych" dość interesujący, a jeszcze bardziej charakterystyczny artykuł p. Adrjana Czermińskiego zatytułowany:

„Wśród wirów i raf prasy filmowej".

Chociaż nie znamy osobiście p. Czrmińskiego i chociaż z reguły bardzo sceptycznie odnosimy się do wszelkich enuncjacyj t. zw. prasy filmowej, to jednak temat przez p. Czermińskiego poruszony jest tak bardzo istotny, a jednocześnie tak symptomatyczny, że nie sposób pominąć artykułu tego milczeniem.

Odsyłając ciekawych szczegółów do nr. 13 „Filmu", ze swej strony konstatujemy, że autor artykułu p. t. „Wśród wirów i raf prasy filmowej" **nie jest specjalnie zadowolony** z naszej prasy filmowej i nie bez słuszności wytyka jej cały szereg jaskrawych, rażących, a często drażniących mankamentów.

Ale... p. Czermiński, któremu artykuł ten podyktowała niewątpliwie jaknajlepsza wola, podszedł do tematu **dość jednostronnie i nieprzekonywująco.**

Nie bądźmy jednakże gołosłowni.

WIEM WSZYSTKO, od pierwszej chwili swego istnienia poświęcające wiele miejsca i jeszcze więcej uwagi sprawom filmowym, nie zapomniało również o prasie filmowej i jej luminarzach. Fakt ten, przypuszczamy upoważnia nas dzisiaj do zabrania głosu w sprawie poruszonej przez p. Czermińskiego.

Nawiązując więc do powyższej uwagi o jednostronnym i nieprzekonywującym charakterze wywodów p. Czermińskiego, stwierdzamy, że **polska prasa filmowa jest taka, jaką chce ją mieć... branża.**

Branża, ten wszechwładny gang składający się z rodzimych „producentów", z żulikowatych biur eksploatacji i właścicieli kin, o których zresztą piszemy w niniejszym numerze na innem miejscu, ta branża nietylko dyktuje co pisać należy, jak pisać należy, ale...

i to najważniejsze — kto ma pisać.

Dziennikarz, który swą pracą zawodową pragnąłby poświęcić tej, tak bardzo trudnej dziedzinie, ale który niemoże wykazać się glejtem branży, nie ptrafi ulokować swej pracy w żadnem piśmie.

A co należy zrobić aby pozyskać glejt?

I tu dochodzimy prawie do sedna zagadnienia. Branża decyduje się na tolerowanie albo wybitnego nazwiska dziennikarskiego,

ale słabego, powolnego jej życzeniom człowieka,

albo z talentem sobie właściwym kreuje na dziennikarzy filmowych... żulików i gigolaków, którzy byliby właściwymi ludźmi na właściwych miejscach w gangach Al Capone - Morawskiego, czy w przepokojach hr. Mielżyńskiej, bądź innej „dirrectrissy" przybytku niedwuznacznej rozkoszy.

Ci ludzie robią „opinję filmową". Dziełem tych gangsterzaków naszego światka filmowego są

te płatne recenzje,

te, również płatne zapowiedzi, te wreszcie wywiady, które doprowadzają ludzi o nawet bardzo stępiałych nerwach do... białej gorączki.

Z tonu artykułu p. Czermińskiego wynikałoby, że ma on urazę do tych rzekomych „dziennikarzy" filmowych. Niesłusznie.

Jeśli utrzymują się na powierzchni, jeśli czytelnik zmuszony jest co i raz poślizgiwać się na idjotyzmach przez nich wypisywanych, to...

wina gangu branżowego,

wina tych wszystkich pp. Rosenów, Łowiczów, Dżiganów, Fenigsztainów, Jankolowiczów, Bermanów, tej całej czarnej sotni, która żeruje na naszej cierpliwości i łatwowierności.

Sprawie dziennikarstwa filmowego poświęca wiele miejsca w swej interesującej książce o filmie, wnikliwy **reporter sowiecki Ilja Ehrenburg.** Na szeregu przykładów udowadnia jak bardzo dziennikarze filmowi są uzależnieni od potężnych koncernów filmy produkujących.

Ale dzieje się to w krajach, gdzie film jest taką samą gałęzią przemysłu, takim samym objektem zracjonalizowanego handlu, jak szereg innych objektów. Dzieje się to w krajach, gdzie wytwórnie filmowe nietylko wiele zdobywają,

ale też i wiele dają.

W tych warunkach zupełnie zrozumiała jest ta walka o właściwych ludzi. U nas jest inaczej.

Polska jako teren ekspansji filmów amerykańskiih jest dla Hollywood

równie mało istotna, jak... Kamerun.

Bo ten polski Kamerun przyjmie każde mydło i każdy, wszędzie indziej już ograny przebój (przykład: film z meczu boksenskiego Schmelling—Louis) Polska, obok Bałkanów jest już dzisiaj jednym krajem w Europie, gdzie publiczność decyduje się na wysłuchiwanie absolutnie

niezrozumiałego dla niej bełkotu amerykańskiego „slang'u",

podczas gdy we wszystkich innych krajach Europy, albo stosuje się na szeroką skalę t. zw. dubbing, albo też wytwórnie amerykańskie odrazu produkują wersje w języku danego narodu.

Dla Polski tego wszystkiego nie trzeba robić, bo nietylko że z pocałowaniem ręki przyjmiemy każdą mierzwę, nietylko suto za nią zapłacimy, ale jeszcze godzimy się na to, żeby tą mierzwę

reklamowali nam różni aferzyści,

rzekomi „dziennikarze". Przykład biur amerykańskich zaraził i rodzimych producentów. Rezultat — prasa filmowa to jedno wielkie bagnisko, które jeśli będzie kiedykolwiek zniwelowane, to chyba jedynie pod wpływem takiego wstrząsu, jaki przeżyły chociażby Niemcy...

P. Czermiński na pierwszej stronie „Filmu" gromi te „wiry i rafy prasy filmowej" a wystarczy przewrócić parę kart tegoż numeru, aby na stronie 11-ej znaleźć znakomity przykład tej **łobuzerki rozwielmożnionej w naszem dziennikarstwie filmowem.**

Oto jakiś „dziennikarz" ukrywający się raz pod literkami „M. S.", drugi raz znów podpisujący się: „sław" spłodził dwa kretyńskie tasiemce o... Rysiu Ordyńskim i Siasiuchnie Szebego, z okazji filmu, jaki ci dwaj luminarze naszej „wytwórczości" filmowej mają zamiar zrobić.

Obydwie bzdury, nastroszone superlatywami są klasycznym przykładem rozhulanego gangu. Boć przecież **chyba tylko Poleszucy z wiosek barbdzo od traktu oddalonych,** mogą dzisiaj uwierzyć, na podstawie filmów dotychczas wyreżyserowanych czy to przez p. Ordyńskiego czy przez p. Szebegę, że ci „luminarze" mogą nam dać: „prawdziwą rewelację artystyczną", jak to był łaskaw napisać p. M. S.

Najważniejsze jednak, że sam p. M. S. czy też „sław", również nie wierzy w to... co pisze.

Krzysztof Miłosz.

Bagienko Filmowe

PANOWIE »DYREKTORZY« KIN

Trzynastu ich było, ale doborowi

Ilość kin zeroekranowych w Warszawie wyraża się cyfrą 13, która — nomen — omen dosadnie charakteryzuje ich fatalne kierownictwo artystyczne.

Kino traktowane jest przez właściciela wyłącznie jako interes dochodowy, który należy prowadzić w ten sposób, aby przy

minimum wydatków uzyskać maksimum zysku.

Rola artystyczna czy kulturalna filmu w żadnym wypadku nie brana jest pod uwagę przez właściciela kina.

Aby przyciągnąć widza stosuje się specjalnie humbugową reklamę, określając nawet tandetny film jako

epokowe arcydzieło.

Bezkrytyczność publiczności warszawskiej znakomicie ułatwia zadanie właścicielom kin, którzy w sezonie robią kokosowe interesy na filmowych „kiczach". Takie bezwartościowe filmy, jak „Antek Policmajster", czy „Dodek na froncie" utrzymywały się na ekranie

przez długie tygodnie,

podczas, gdy filmy artystyczne (określane przez branżę jako „renekler") padały po 10 czy 14 dniach anemicznej frekwencji.

Poniżej postaramy się scharakteryzować organizację wewnętrzną przeciętnego zeroekranowego kina, które posiada

specjalnie „wyszkolony" personel.

odpowiadający zasadzie właściciela kina, że należy zbijać jaknajwięcej forsy!...

Administrcja kina zatrudnia pewną określoną liczbę osób, z których każda wypełnia powierzoną sobie pracę.

Na najwyższym szczeblu hierarchji „administracyjnej" znajduje się przedewszystkiem sam właściciel kina, osoba, przeważnie

pochodzenia niearyjskiego,

nawiasem mówiąc, niezbyt inteligentna.

Reprezentantem kina nazewnątrz jest „dyrektor", którego zadaniem jest „użeranie" się z „nieznośnymi dziennikarzami",

których uważa się za zło konieczne...

Pozatem argusowy wzrok „dyrektora" śledzi pilnie bileterów (przeważnie marnie płatnych), aby ci nie wpuszczali widzów „na gapę"...

Należy zaznaczyć, że „dyrektor" urzęduje przeważnie w poczekalni kina. W dni premjery bywa on

nieuchwytny i niewidzialny,

zwłaszcza jeżeli chodzi o bezpłatne lub ulgowe bilety dla recenzentów...

Osobnik zwany „referentem prasowym", lub „szefem reklamy" zajmuje się redagowaniem ogłoszeń, anonsów, t. zw. „vorreklam" i zamieszczaniem ich w prasie. Elaboraty szefów reklamy mogą stanowić

klasyczne przykłady, jak nie należy wysławiać się w języku polskim

i pozatem są niewyczerpaną kopalnią idjotyzmów i kiepskich dowcipów.

Oprócz wyżej wymienionych „dostojników administracji" kinowej istnieją jeszcze pomocnicy „dyrektora", „szefa reklamy", „doradcy" i „zausznicy" właściciela kina i t. p. indywidua, które — rzecz charakterystyczna —

nie posiadają domieszki krwi aryjskiej,

a za swe „światłe" rady otrzymują przeważnie bezpłatne bilety kinowe, (rzadziej natomiast pieniądze), które w dzień premjery bywają szumnie nazywane „zaproszeniami"...

Buchalter, kasjerki, mechanik, bileterzy zamykają listę osób zatrudnionych w kinie. Tam gdzie „szefowie reklamy" czy „dyrektorzy" są przedsiębiorczy, istnieją bileterki, z których bywa podwójna korzyść. Po pierwsze otrzymują niższe pensje, aniżeli mężczyźni, a po drugie — są zawsze

bardzo „miłe" w stosunku do „szefa reklamy"

czy też „dyrektora"...

Stosunki między właścicielami poszczególnych kin są przeważnie niezbyt poprawne. Walka konkurencyjna prowadzona jest w sposób bezwzględny z

pominięciem wszelkich skrupułów natury etycznej.

Na potwierdzenie tych zarzutów dajemy przykłady.

Oto, gdy np. w jednym kinie idzie film pochodzenia niemieckiego, właściciel sąsiedniego kina nie mogąc znieść, że film ów cieszy się powodzeniem, zabiera się do pracy i... wkrótce na murach ukazują się ulotki,

w formie żałobnych klepsydr,

głoszące, że: „właściciel kina X zmarł dla społeczeństwa żydowskiego, ponieważ wystawia filmy hitlerowskie". Pod ulotką znajduje się groźny napis:

„Komitet antyhitlerowski".

Na słupach ogłoszeniowych program kina „Filharmonja" (będącego w rękach chrześcijan) bywa zwykle zalepiany opaską, na której czytamy: „Film hitlerowski — bojkot trwa"! Zdarzyło się pewnego razu, że w filmie niemieckim pod nazwą „Mazur" również będącego pod bojkotem, kierownikiem produkcji

był niejaki... J. Rabinowicz...

Polecamy to nazwisko uwadze kierowników komitetu antyhitlerowskiego!...

Zdarza się np., że pewne kino kupuje „na pniu" film z życia zwierząt („Sequoia), który ma być rewelacją przyszłego sezonu i przez szereg miesięcy szef reklamy owego kina umieszcza w prasie kosztowne wzmianki reklamowe. Kina sąsiednie, a więc konkurencyjne, chcąc

zepsuć powodzenie „Sequoi",

wystawiają w sezonie martwym (letnim) szereg filmów z życia zwierząt („Baboona", „Tajemnice Peraku") innej wytwórni o niższej wartości artystycznej. Zapowiadany film ukazuje się w pełni sezonu i

robi sromotną klapę,

chociażby dlatego, że publiczność nie chce oglądać filmów jednakowego typu. Koszta kilkomiesięcznej reklamy idą na marne, a kino przez dłuższy czas wegetuje.

Postaramy się teraz pokrótce scharakteryzować niektórych właścicieli kin „dyrektorów" i „szefów reklamy". Biografje tych panów winny być wydrukowane złotemi głoskami w naszem piśmie w rubryce: „Menażerja Warszawy".

Pierwszym zadaniem przeciętnego „dyrektora" jest spolszczenie swgo nazwiska, które zwykle posiada końcówkę: ...berg, ...baum, lub sztein... Klasycznym przykładem „metamorfozy" nazwiska

może być p. Pantofelmacher,

współwłaściciel i dyrektor kina „Stylowy", który obecnie nosi nazwisko Stalskiego...

Młody dyrektor i „szef reklamy" kina „Bałtyk" p. Szlosberg wyrzekł się swego „rodowego" nazwiska i teraz

podaje sią jako Zamecki...

Inteligencja niektórych właścicieli kin jest rozbrajająca w swej naiwności. I tak np. kiedy kino „Apollo" zakontraktowało film „Bengali", właściciel, p. G. Lejman

wyraził swe powątpiewanie co do kasowości

owego filmu. „Bengali" wbrew opinji „znawcy" — właściciela „uderzył" (jak mówią w „branży") i „robił" świetną kasę przez pół roku!...

Film „Marja Baszkircew" szumnie zachwalany przez p. G. Lejmana, który dołożył do jego realizacji kilkadziesiąt tysięcy złotych, po 3-ch tygodniach niepowodzenia

zszedł niesławnie z ekranu kina „Apollo".

Korzyść z owego filmu odniosła jedynie „dama serca" p. Lejmana, „kreująca" jedną z trzeciorzędnych ról w tym obrazie.

Pan Sender, obecny „szef reklamy" kina „Światowid"

„wsławił się" przed paroma miesiącami wysoce „dowcipną" reklamą.

W czasie konfliktu włosko - abisyńskiego ukazał się w „Światowidzie" film p. t. „W cieniu Abisynji" z Abisynką „Lilongą" w roli głównej. Po zbadaniu okazało się, że film ten w rzeczywistości nazywa się „Bosambo" i **z Abisynją niema nic wspólnego.** Abisynka „Lilonga" to murzynka Nina Mac Kinney, znana z filmu Vidora „Dusze czarnych".

„Referent prasowy" kina „Capitol" pan Hochberg ogłaszając reklamę filmu „Pan Twardowski" wyraził się o naszym czarnoksiężniku, że jest on

„uosobieniem kawaleryjskiej (sic!) fantazji"...

Moglibyśmy bez końca mnożyć podobne „wyczyny" „szefów reklamy", ale szczupłe ramy artykułu każą poprzestać nam na przytoczeniu tylko najjaskrawszych przykładów.

Obok tych „zalet" językowych p.p. „szefowie reklamy" w osobach różnych Senderów, Hochbergów, Zajaców (sic!), Rapaków, Godików, Rosenszajnów, Hermelinów i innych

są uosobieniem arogancji i impertynencji w stosunku do dziennikarzy.

„Dyrektorzy" kin również nie odznaczają się wersalskością manier.

Na szczęście istnieją nieliczne jednostki wśród dyrektorów i szefów reklamy, które

są zawsze uprzejme i uczynne

wobec prasy.

Istnieją w Warszawie tylko 2 kina „zeroekranowe" chrześcijańskie, a mianowicie:

„Roma" i „Filharmonja".

Na 13 tylko 2! Smutne ale prawdziwe...

Qui - qui.

HITLER TAK...

a jak Stalin?

W pierwszych dniach lipca r. b. odbył się w Brukseli, Międzynarodowy Kongres w sprawie amnestji dla więźniów politycznych w Niemczech.

W ostatnim dniu kongresu powzięto rezolucję, w której ustalono, że od przejęcia władzy w Rzeszy przez obecnych jej włodarzy, zasądziły sądy niemieckie **225.000** — cyfry okrągłe — politycznych przestępców na łączną karę przeszło 600.000 lat. Do końca maja r. b. pozostawało w więzieniach niemieckich **130.000** skazańców politycznych, **30.000** osób było w śledztwie, a **40.000 osób** zamkniętych było w obozach koncentracyjnych.

Od r. 1933, ścisłej od objęcia władzy nad Rzeszą przez kanclerza Hitlera i jego zwolenników, aresztowano ogółem przeszło **jeden miljon osób,** jako politycznie „nieuświadomionych". W tej liczbie znaleźli się politycy i pisarze w ilości 133, których następnie pozbawiano państwowości niemieckiej.

Do dnia 30 czerwca r. b. zmuszono do emigracji z Niemiec **120.000 osób** — w liczbie tej nie uwzględniono „dobrowolnych" emigrantów — skazanych w tym okresie na śmierć było **135 osób** — chodzi tylko o przestępstwa polityczne.

Wyrok śmierci wykonano na **65 osobach,** tak mężczyznach, jak i kobietach.

Przeszło **10.000 osób** zmarło w tym okresie w obozach koncentracyjnych w sposób „niewyjaśniony bliżej" lub popełniło... dobrowolnie samobójstwo.

Cyfry te podane zostały telegraficznie do wiadomości kanclerza Hitlera z prośbą o amnestonowanie wszystkich przestępców politycznych.

Doceniając w całej rozciągłośc' piękną inicjatywę kongresu, radzimy aby kongres z równą aktywnością zainteresował się losami przestępców politycznych w Sowietach, podając do wiadomości Stalina równie konkretne cyfry.

(a.)

PRAWA RĘKA MISTRZA

Chociaż Jan Kiepura opuścił już granice Rzeczypospolitej aby wrócić do swej mozolnej ale tryufmalnej pracy, to jednak prasa **nie przestaje histeryzować się** wszystkiem, co ma jakikolwiek związek z osobą słodkiego „chłopaka z Sosnowca".

I tak np. dowiadujemy się, że najbardziej zapracowanym człowiekiem jest sekretarz Kiepury p. Janusz Lszczyński, onże prawa ręka znakomitego kapelmistrza Adama Dołżyckiego. P. Leszczyński, któremu przypadła w udziale gratka wywnętrzania się przed jakimś **mało opierzonym dziennikarzem,** stwierdza ze smutkiem, że najwięcej zajęcia przysparza mu: **„tak zwana reprezentacja",** zwłaszcza, że p. Leszczyński musiał być obecny na wszystkich przyjęciach...

Niejednokrotnie podkreślaliśmy naszą sympatję dla Kiepury, ale, wiedząc kim jest p. Leszczyński, obawiamy się, że udział jego w przyjęciach, był istotnie „tak zwaną reprezentacją", która nie przysporzyła splendoru ani Kiepurze, ani też temu pindulkowi dziennikarskiemu.

(z.)

(Dokończenie ze str. 2ej).

podstawie obowiązujących przepisów, **byłby ze swego stanowiska zwolniony.**

Choremu zatem naprawdę udziela się terminu leczenia, niemożliwego do przyjęcia. **Osobie zdrowej, spędzającej w Warszawie stale czas w modnych kawiarniach i dancingach, daje się możność miłego i prawie bezpłatnego pobytu w uzdrowisku.**

Nieo to zresztą chodzi! Niech i p. E. W. spędza sobie swój urlop na koszt Ubezpieczalni, skoro Ubezpieczalnia tak chce i choć to nie jest w porządku. Ale stanowczo twierdzimy, że skoro p. S. T., poważnie chory, może przeprowadzić swą kurację najpóźniej w sierpniu, to **Ubezpieczalnia powinna przesunąć czas „kuracji" zdrowej p. E. W. na wrzesień, umożliwiając tem samem leczenie naprawdę chorego w sierpniu.**

Na zakończenie zaznaczamy, że p. S. T. jest urzędnikiem państwowym, mającym na swem utrzymaniu rodzinę, i **jest znanym działaczem niepodległościowym.** P. E. W. natomiast poza prawie tysięczną pensją w instytucji bankowej, może się wylegitymować tylko względnie młodym wiekiem, no i przynależnością do narodu wybranego.

S.

SPRAWA LEONA MIGUŁY

Co na to Związek Legjonistów?

Przed paru dniami prasa stołeczna przyniosła wiadomość o aresztowaniu Leona Miguły. Przeciętnemu śmiertelnikowi nazwisko Miguła nic nie mówi i ani w głowie tegoż szarego człowieka postanie, że nikt inny, a właśnie Leon Miguła, dzisiejszy więzień aresztu śledczego od pierwszych dni zawieruchy wojennej był

najbliższym człowiekiem Komendanta,

był jego szoferem i totumfackim.

Nic nas nie obchodzi życiorys Miguły. Obojętne jest dla nas czy urodził się on w Tarnowie czy w Sanoku lub Skolem, równie obojętny jest dla nas fakt, gdzie i czy wogóle ten człowiek pobierał jakiekolwiek nauki, nas interesuje jedna prawda — oto Leon Miguła był

odważnym żołnierzem legjonowym,

który przez wiele, wiele dni ani na krok nie odstępował Komendanta, ot tak poprostu, jak wierny, podwórzowy Burek, nie odstępuje swego chlebodawcy.

Kiedy przyszedł pokój, niebardzo gramotny podoficer Miguła poszedł do cywila i, jak wielu ludzi z legjonowej gromady, stał się tym

człowiekiem niepotrzebnym, wykolejonym i do niczego nie przydatnym.

I oto zaczął się wówczas drugi etap życiowej wądrówki Leona Miguły. Uciążliwa, najgroźniejsza z groźnych walka o prawo do życia, o utrzymanie się na powierzchni.

Próbował Miguła być urzędnikiem Zarządu Miejskiego. Skończyła się ta próba fatalnie, próbował zbierać ogłoszenia —

wpadł w sieci aferzystów i... omal do kryminału nie trafił,

próbował pracować w monopolu solnym — szybko go spławili.

Słowem, był tym klasycznym typem człowieka nieprzydatnego do niczego. I właśnie wtedy, jak większość ludzi znajdujących się w podobnej sytuacji, zaczął Miguła występować w charakterze reprezentanta zawodu, który,

niestety, u nas nie wymaga żadnych świadectw,

ani żadnych dokumentów. Został „dziennikarzem".

Zły los chciał, że „dziennikarz" Miguła zetknął się z „dziennikarzem" Olpińskim. Tu się zaczyna łańcuch niepowodzeń.

Nie naszem zadaniem jest charakteryzowanie Stefana Olpińskiego. Ten arcy-błękitny ptak, troskliwie dbający o to, aby Polska i na tym odcinku była godnie reprezentowana, jest

postacią zbyt romantyczną

aby można było ją pokwitować paru zdaniami. Faktem jest, że na terenie Rzeczypospolitej, a już specjalnie na terenie Zarządu Miejskiego Olpiński był postacią arcy-trefną. I oto z tym prawie trędowatym ucieknierem lekkomyślnie wiąże swe losy Leon Miguła.

Czy robi to dla pieniędzy?

Chyba nie. O ile nam wiadomo, nie udało mu się wyciągnąć od stokroć odeń sprytniejszego Olpińskiego

nawet paruset złotych.

Dostaje zato od Olpińskiego, wówczas persona grata w Berlinie — legitymację prasową bardzo problematycznej i bardzo hochstaplerskiej ajencji „Europa". Ten dokument jest dla Migułv stokroć cenniejszy od najwyższego honorarjum, bo ten dokument daje mu mniej więcej konkretną podmurówkę pod jego, dotychczas fikcyjny zawód dziennikarza.

Miguła, jak wielu ludzi jemu podobnych,

jak wiele natur prymitywnych zaczyna szaleć,

niepomny tego, że wszakże reprezentuje w Warszawie ajencję, która gdzie jak gdzie, ale właśnie tu, niema nic do powiedzenia.

Kiedy zaczyna ukazywać się w Warszawie napastliwo - antysemickie pisemko „Warta", Leon Miguła, syn tych chłopów co to dzisiaj

coraz głośniej mówią o swem prawie do... stragana,

żołnierz legjonowy chyba bez skazy, staje się jednym z pierwszych współpracowników antysemickiego świstka...

Nie szczędziliśmy mu na łamach WIEM WSZYSTKO złośliwych przytyków, nie raz wyszydzaliśmy tego „naczelnego publicystę" WARTY, który jednocześnie, znów aby utrzymać się na powierzchni życia,

założył do spółki z... żydami handel manufakturą,

ale wiedzieliśmy jedno napewno, że Miguła mógł od tego czy owego pożyczyć na „wieczne nieoddanie" 5 zł., mógł komuś ze swych przyjaciół zabrać buty, kiedy jego buty z nóg mu spadały, ale nigdy nikogo nie szantażował, od nikogo pieniędzy podstępem niewyłudzał, może dlatego, że był za.. głupi, a może dlatego, że prosto i po chłopsku

cenił tę odznakę Pierwszej Brygady, którą za lata służby z Komendantem otrzymał,

nie mówiąc o innych odznaczeniach.

Niemamy najmniejszego zamiaru „wybielać" Leona Miguły. Bardziej byłaby do tego

powołana organizacja legjonowa,

której tenże Miguła był takimsamym członkiem, jak gen. Górecki, jak wojewoda Dziadosz, jak wojew. Belina-Prażmowski, jak wielu innych wybitnych ludzi naszego życia. Tasama organizacja, która tak łacno ujęła się za notorycznym aferzystą Poping - Jagiełłą, tasama organizacja, która swym potężnym autorytetem

pokryła tyle innych potknięć czy fałszywych kroków

swych członków.

Wiemy, że śledztwo, które toczy się w sprawie Miguły wyświetli wszystwie mroki tej arcy-smutnej historji, której problematycznym „bohaterem" stał się żołnierz Komendanta, zanim to jednak nastąpi, zanim czynniki miarodajne powiedzą A czy B, my ze swej strony stwierdzamy.

że Leonowi Migule stała się krzywda,

już chociażby tylko dlatego, że za tym żołnierzem, który w odmiennych warunkach egzystencji stał sie nieporadny niby małe dziecko,

nie stanął nikt z jego frontowych kolegów dzisiaj wielkie zaszczyty i stanowiska piastujących.

To jest najsmutniejsza prawda sprawy Leona Miguły, do której napewno dane nam będzie jeszcze powrócić.

pop.

CHWACKIE »100 POCIECH«

Kto na nich zarabia?

Sposób zabawy ludu warszawskiego jest tak bardzo specyficzny, że wielu, bardzo wielu wysiłków trzeba było aby znajdujący się nad brzegiem Wisły, po praskiej stronie Luna Park stał się atrakcyjnem miejscem zabaw. I trzeba przyznać, że organizatorzy tej imprezy **potrafili przyciągnąć tam** nietylko peryferyjną biedotę, ale nawet... możnych tego świata, którzy usiłowali łudzić się, że Warszawa ma swój... Prater.

NOWE RZĄDY

Trwał ten stan rzeczy tak długo, jak długo Luna Parkiem, w międzyczasie czort wie dlaczego przemianowanym na... „100 Pociech", nie zainteresował się jako ewentualnem źródłem dochodu **Obywatelski Komitet Pomocy Społecznej,** na którego czele jak wiadomo stoi powszechnie szanowany p. senator Evert.

Nie naszą rzeczą jest interesować się na jakich warunkach Obywatelski Komitet dzierżawi tereny Luna Parku od Zarządu Miejskiego, natomiast mamy prawo zainteresować się **czy i jakie korzyści z tej imprezy** wyciąga organizacja społeczna, która podjęła się prowadzenia „100 Pociech".

I tu wchodzimy w strefę mgieł kłębiastych. Tu zaczyna być ciemno i niewyraźnie.

Bo i cóż się okazuje?

CHWAT NA HORYZONCIE

Komitet, nie mogąc prowadzić imprezy we własnym zakresie, powierzył to, bądź co bądź uciążliwe zadanie p. Dawidowi Chwatowi. Mniejsza z tem, że wybrano właśnie żyda, chociaż jest wielu chrześcijan - fachowców, **prawdopodobnie p. Chwat tychże fachowców zdystansował,** jako chociażby wybitny... elektrotechnik. Nie przywiązujemy również większej wagi do pogłoski o tem, że stanowisko dyrektora Luna Parku otrzymał p. Chwat nie tyle drogą konkursu, ile... via gabinet swej małżonki - dentystki, u której leczą się ponoć co znamienitsze tuzy Komitetu. Pogłoskę tę kładziemy między złośliwe plotki.

KTO ZARABIA?

Nas interesuje jednakże co innego. Oto tajemnicą poliszynela jest, że zarówno p. Chwatowi, jak i jego zastępcy p. Jasiewiczowi powodzi się bardzo dobrze, już chociażby tylko dlatego, że nieomal wszystkie imprezy rozrywkowe, znajdujące się na terenie „100 Pociech" **zostały wydzierżawione nie drogą przetargu,** a poprostu drogą siucht, o których Komitet napewno nie wiedział, bliższej i dalszej rodzinie dwu, wyżej wymienionych panów. Nie trzeba być specjalnym jasnowidzem, żeby stwierdzić, że imprezy te dają wcale ładny grosz, zwłaszcza w roku bieżącym, kiedy to lato nadspodziewanie dopisuje. Ponieważ podobny ogród rozrywkowy jest w Warszawie tylko jeden, sobota i niedziela jest dla tej imprezy **prawdziwą kopalnią złota,** jeśli się uwzględni, że w dni te przewija się przez „100 Pociech" od 6 do 10 tysięcy ludzi, którzy muszą zapłacić tylko za wstęp 25 gr. Ile z tych sum uzyskuje Obywatelski Komitet Pomocy Społecznej, oto pytanie, które bardzo nas interesuje i na które **p. senator Evert niewątpliwie raczy łaskawie udzielić nam odpowiedzi.**

PRYMITYW

Zanim to jednak nastąpi, chcieliśmy zwrócić uwagę na jeszcze jeden szczegół. W założeniu swem Luna Park na Pradze jest raczej przeznaczony dla proletarjatu niż dla urzędujących ministrów i podsekretarzy stanu. Czyżby jednak fakt ten upoważniał kierowników tej imprezy, a w pierwszym rzędzie, wyżej wymienionego p. Chwata do traktowania tegoż proletarjatu, który z trudem wysupłuje 25 gr. aby zapłacić bilet wstępu, **dosłownie „per noga"?**

Na terenie całego Parku niema w chwili obecnej ani jednego, możliwie przestronnego budynku, gdzieby na wypadek deszczu **mogła schronić się publiczność.** W rezultacie, przy większej ulewie już po pięciu minutach biedna publiczka musi brodzić w bajorach, **gdzie woda sięga jej po kolana...**

FATALNE BEZPIECZEŃSTWO

Brak fachowców w tej imprezie daje się fatalnie odczuć na odcinku bezpieczeństwa, czego najlepszym dowodem są liczne wypadki na terenie „100 Pociech". W tym roku był zaledwie jeden, **kiedy to gość złamał sobie kręgosłup** spadając bodajże z karuzeli łańcuchowej. W roku ub. podobnych wypadków było więcej, widocznie jednak p. Chwat na tym odcinku musi być bezkonkurencyjny, skoro wszystkie sprawy zostały misternie zatuszowane.

CHWAT I CUDEK

Na terenie „100 Pociech" poza dyrektorem Chwatem grasuje również brat jego — **Hersz Cudek onże Henryk Cudnowski.** Ci panowie są w wielkim ogrodzie zabaw ludowych reprezentantami nie Linas Hacedek czy tow. Brijus, a... Obywatelskiego Komitetu Opieki Społecznej, który to komitet, dzięki aktywnej spółpracy pp. Chwatów, Cudków i ich rodzin, napewno jest dzisiaj **jedną z najzasobniejszych organizacyj społecznych** w Warszawie.

Bo gdzieś wreszcie muszą wędrować te pieniądze z doskonale prosperującego Luna Parku na Pradze, a bylibyśmy złośliwymi ludźmi, gdybyśmy uwierzyli oszczerczej plotce, że wędrują one, **ale do kieszeni pp. Chwata, Jasiewicza, Cudka et consortes...**

Oko.

Jeszcze jeden sukces »Wiem Wszystko«

Artykuły nasze o karcianej spelunce działającej w Bagateli pod szyldzikiem anonimowego Stowarzyszenia Kobiet Pracujących Umysłowo, nie przeszły bez echa. Starostwo Grodzkie Śródmiejsko - Warszawskie NAKAZAŁO PONOWNĄ LUSTRACJĘ tej „organizacji" zawieszonej już raz w grudniu 1935 roku.

Lustracja władz administracyjnych doprowadzi niewątpliwie do zlikwidowania gorszącej imprezy karcianej, panoszącej się pod płaszczykiem organizacji społecznej.

Zarządzenie władz administracyjnych, wydane bezpośrednio po naszych artykułach jest jeszcze jednym, WIDOMYM SUKCESEM „WIEM WSZYSTKO" bezkompromisowo występującego przeciwko wszelkim mankamentom naszego życia publicznego.

LITWO, OJCZYZNO MOJA!

Reportaż specjalnego wysłannika »Wiem Wszystko«

Kowno, w lipcu.

Za niebosiężnym chińskim murem, dalej niż Rosja dzisiejsza, ba... dalej nawet niż najdalszy Wschód, niż egzotyczne wyspy Oceanji, a przecież **zaledwie trzema godzinami podróży samolotowej** oddzielona od Warszawy, leży Litwa. Północnym szlakiem, oddechu nabierając w Wilnie, możnaby wystartowawszy po śniadaniu w Warszawie, drugie śniadanie zjeść w... Kownie.

WYPRAWA DO SĄSIADA

Możnaby.. ale.

Dzisiaj, niestety, podróż do Litwy Kowieńskiej to cała wyprawa równie skomplikowana, jak ekspedycja do nieznanego Mandżuko czy raid przez pustynię Gobi.

A przecież mimo to, tak nęcąca, jak nęcącym może być powrót **do znajomych i bardzo kochanych stron**, raz na zawsze utrwalonych sentymentem lat dziecięcych.

W Polsce nie mówi się wiele o Litwie, zato dla całej Europy ten ponoć egzotyczny kraik jest punktem, z którego żaden wytrawny dyplomata i żaden sprytny dziennikarz nie spuszcza wzroku.

BECZKA PROCHU

Spokojnie minął plebiscyt w Zagłębiu Saary, ład zapanował w Grecji, zamilkła wojna abisyńska, Litwa z niesforną Kłajpedą nie przestaje być **groźną beczką prochu**, którą kto wie, jaki płomień zdoła rozpalić.

Sentyment lat dziecięcych i ciekawość dziennikarska, skłoniły mnie do ryzykownego wedle jednych, nieciekawego wedle drugich, wypadu na Litwę.

UPRZEJMOŚCI WSTĘPNE

W paszporcie polskim niema miejsca dla wizy litewskiej. Jest ona zresztą kosztowna, jak chyba żadna inna wiza na świecie, jednakże dzięki uprzejmości litewskiego ministerstwa spraw zagranicznych i **konsula generalnego republiki litewskiej w Królewcu p. dr. Budrysa**, wizę tę, w formie jakgdyby osobnego paszportu otrzymuję szybko i bez najmniejszych kłopotów.

Pierwsze zetknięcie z republiką żółto-zielono - czerwonej bandery, przemienia mnie odrazu w rdzennego Litwina. W dokumencie wydanym mi w litewskim konsulacie wypisano wyraźnie: **Wladimir Poplauskas.** Trudno, co kraj, to obyczaj!

Na stacji w Insterburgu pierwsze wagony litewskie. Podobne do naszych używanych jeszcze na linjach podmiejskich. Wielodrzwiowe, zielone, na każdym z nich pod herbem Pogoni cyfra litewskich kolei żelaznych.

NA LITEWSKIEJ ZIEMI

Świat okrywa się brunatnym mrokiem, kiedy z ostatniej stacji wschodniopruskiej Eydiumy, pociąg rusza ku majaczącej w oddali Litwie.

Z lewej strony, za oknami przesuwa się drewniany budyneczek, sklecony z okrąglaków, obok, wyciągnięty jak struna sterczy w długim, **do złudzenia rosyjski przypominającym szynelu**, pierwszy żołnierz litewski.

Z prawej strony, tuż przy torze koślawe domki, szyldy w niezrozumiałym języku, ludzie wpatrzeni w sznur wagonów, jakgdyby je po raz pierwszy widzieli.

To już Litwa. Nadgraniczna mieścina.

PIERWSI LUDZIE

Dopiero jednakże w Wirbalis stykam się z Litwą bezpośrednio. W wagonach robi się rojno od szablonowo zielonych mundurów celniczych. Urzędnicy **są zresztą bardzo grzeczni.** Równie uprzejmy jest imponująco wielki żandarm, który ogląda mój paszport.

Z pod czapki przypominającej nieco japońskie kepi, wygląda twarz, którąby z powodzeniem można było przenieść gdzieś do Kalisza czy Skierniewic.

Długi, rosyjskiego kroju zielony szynel, białe rękawiczki, wspaniały pas i torba. Pierwszy przedstawiciel władzy litewskiej wygląda bardzo reprezentacyjnie. Krótka debata nad moją maszyną do pisania, długie lustrowanie polskiego paszportu zagranicznego, który pokazuję właściwie z grzeczności, **jako uzupełnienie dokumentu wydanego mi przez litewski konsulat** i wolny już na litewskiej ziemi wychodzę na peron.

MIGAWKI ZAGRANICZNE

Stacja jest stara. W miarę odrapana. W kasie, gdzie kupuję bilet do Kowna, zamiast urzędnika, jakaś niewiasta w kapeluszu. W bufecie na ladzie śledzik, ogórki małosolone, bułki jakichby próżno szukać w Niemczech, no i palma którą można znaleźć wszędzie.

Anglika, z którym jadę w jednym przedziale od Królewca, interesuje jednakże bardziej, czy lokomotywa, którą właśnie przyprzęgnięto do naszego pociągu na miejsce niemieckiej, **jest litewskiego pochodzenia.**

Na tabliczce firmowej widnieje wyraźnie: „Skoda, Pilzno, Czechosłowacja". Długi pulman z herbem Pogoni, zrodził się na Śląsku niemieckim. Anglik kręci głową...

Po peronie snują się jakieś niewyraźne postacie, kilku brodatych, czarno przyodzianych starszych panów, jacyś urzędnicy w mundurowych czapkach, sztybletach z ostrogami i cywilnych płaszczach. Jeszcze jeden, równie wysoki żandarm. Ruszamy!

REPREZENTACYJNY SZLAK

W wagonach już gospodaruje litewski personel. Kolejarze mają na sobie ciemne mundury. Chcąc sprawdzić bilety przezornie nie odzywają się w żadnym języku, a tylko szczękają maszynkami do dziurkowania.

Czarno jest za oknami. **Pociąg mknie dość szybko.** Jakiś urzędnik kolejowy, który wsiadł do naszego przedziału, tłumaczy doskonałą ruszczyzną, że na tej linji pociągi zwykle kursują bardzo dobrze. Niechcę go pytać, jak jest na inych linjach...

Czerni zaokiennej nic nie rozprasza. Chociaż wpatrzony w mrok, co i raz widzę ciemniejsze kontury domostw. W żadnem oknie światła. Jest godzina 9-ta wieczorem.

KAUNAS, WYSIADAĆ!

Kowno zwiastują niezbyt liczne światełka. W miarę jak pociąg **zbliża się do stolicy Litwy dzisiejszej**, światełek tych jest coraz więcej, dwoją się, ale to tylko odbicie w falach niewidzialnego Niemnu...

Wreszcie Kowno. Pociąg wtacza się na dworzec prawie bezpośrednio, odrazu z polnego pustkowia, nie biegnąc zupełnie między tak charakterystycznemi dla wielkich stolic europejskich zabudowaniami peryferyj.

Dworzec kowieński jest jakgdyby **zlepkiem budownictwa kolejowego** rosyjsko-niemieckiego. Kryte perony, podziemne przejścia. Zato numerowi przypominają w swych jasno niebieskich bluzach **dawnych rosyjskich „nosilszczyków"**. Można się zresztą z nimi znakomicie porozumieć po rosyjsku.

W tłumie dworcowym język ten rozbrzmiewa często, tłum ten nota bene jest bliźniaczo podobny do podróżnych z dworca w Tule czy Mińsku. Ale już przed dworcem zamiast kocich łbów... asfalt.

PO ASFALTOWEJ JEZDNI

Duża, wygodna taksówka mknie po nim prawie bezszelestnie, a szybko, niemając wiele kłopotu z wymijaniem innych aut czy też przechodniów.

Hotel Litewski, teraz zwany Metropolisem to **ostoja kowieńskiego highe - lifu rządowego**, już chociażby tylko dlatego, że hotel stanowi własność rządu. Zatrzymują się tu również goście zagraniczni. Anglik z którym przyjechałem, nie może wyjść z podziwu, że zapytano go **czy chce pokój z łazienką czy bez.** Jest to jego pierwsza podróż do krajów wschodniej Europy.

OBLICZE KOWNA

Kowno na codzień podobne jest w swej części nowszej do ...**Grodna z asfaltami,** w starszej do... pełnych uroku zaułków Wilna. Zato Kowno najnowsze, to Kowno, które wyrosło w ciągu ostatnich 7 lat, jest już miastem nawskroś zachodnio europejskiem. Architektura nowych budowli nosi na sobie piętno **stosowanego modernizmu miast czeskich.** Wynika to prawdopodobnie z tego, że młodzież litewska w olbrzymiej większości studjowała na politechnice praskiej. Stolica Czechosłowacji dała więc Litwie co najtęższych architektów, których dziełem jest szereg budowli efektownych, a co najważniejsza **nawskroś praktycznie rozwiązanych,** Kowno najnowsze nie siliło się bynajmniej na budynki imponujące, monumentalne. To co zrobiono jest jak wspomniałem bardzo efektowne, ale spokojne i nawet gustowne.

PRAKTYCZNIE I EFEKTOWNIE

Budynek banku ziemskiego, mieszczący jednocześnie litewskie ministerstwo spraw zagranicznych, biura oficjalnej ajencji Elty i szereg pokrewnych instytucyj, budynek banku litewskiego, najwyższego trybunału, departamentu policji, uniwersytetu Witolda Wielkiego, wszystko to odznacza się **idealnem wykorzystaniem przestrzeni i światła,** którego, dzięki wielkim oknom wszędzie jest pełno.

U stóp t. zw. Zielonej Góry i na jej zboczach wyrosło sporo wcale efektownych willi i pałacyków, głównie modernistycznie potraktowanych, **chwilami wręcz pięknych dzięki malowniczemu,** w innych miastach Europy rzadko spotykanemu położeniu.

UBOGIE CENTRUM

Centrum zato, to centrum z główną arterją — aleją Wolności, poza dwoma budynkami, z których jeden należy do urzędówki litewskiej, a drugi do sławnej w całej Litwie spółdzielni PIENOCETRAS, no i poza wcale reprezentacyjnym budynkiem poczty, **przedstawia się wręcz ubogo.** Domy przeważnie jednopiętrowe, oszpecone typowo wschodniemi szyldami, malowane kolorowe, popstrzone licznemi, a ubogo urządzonemi witrynami sklepowemi, **przygniatają prowincjonalną sennością**, tak zresztą jak cały ruch uliczny tej stolicy bratniej republiki.

KOWIEŃSKI DEPTAK

Dość szeroka, dobrze wyasfaltowana, aleja Wolności rozdzielona jest szerokim pasem zieleńców umieszczonych pośrodku jezdni. Chodnik, który biegnie między tymi zieleńcami, to jakgdyby deptak kowieński. Tu spotyka się w słoneczne, przepołudnia i ciepłe wieczory całe Kowno, jedynie robiąc ustępstwo dla którejkolwiek kawiarni kowieńskiej.

KOWIEŃSKIE KAWIARNIE

Niema ich wiele. Litewska Lithuanica, która zagospodarowała się na miejscu dawnej kawiarni Perkowskiego, gdzie wojownicza **młodzież litewska zbyt często tłukła szyby.** Niemiecka kawiarnia Konrado przy al. Wolności, no i kawiarnia Aldona, nieugiętego Perkowskiego, który teraz tylko dla pewności z lokalu parterowego **przeniósł się na 1-e piętro** i tu obdarowuje kolonję polską. Dospołu z żydowską doskonałą kawą i jeszcze lepszemi koncertami, oczywiście polskiego zespołu.

W tych kawiarniach kowieńskich siedzi publiczność **niebardzo różna od tej, którą widujemy codziennie w analogicznych lokalach warszawskich.** Może trochę gorzej ubrana zwłaszcza jeśli idzie o mężczyzn, ale równie bezczynna i... bezmyślnie nastrojona.

WOJSKO I POLICJA

Na ulicy kowieńskiej rozliczne plamy na szarym tle przechodniów stanowią mundury wojskowe i policyjne. Ustrój obecny **wprowadzony dzięki wojsku,** zażegnanie puczu Waldemarasa, przeprowadzone znów dzięki policji, wszystko to przyczyniło się do kreowania jednych i drugich **na benjaminków rządu, no i powiedzmy całego społeczeństwa.** Nic też dziwnego, że zarówno jedni, jak i drudzy chodzą butni i pełni radości życia, akcentując to na każdym kroku. Wojskowi umundurowani trochę na wzór wojska rosyjskiego, w czapkach przypominających nieco japońskie kepi, czasami rozśmieszający purpurowemi rajtuzami, mkną przez ulice Kowna **w najnowszych, kosztownych maszynach,** których właśnie armja posiada najbogatszy asortyment.

Policjanci, chłopy rosłe, cudacznie odziane w błękitno - szkarłatne **mundury z rabatami i pocieszne czaka,** oraz obowiązkowo białe, bawełniane rękawiczki, spacerują dostojnie między zieleńcami, raczej zadumani niż zainteresowani ruchem ulicznym, który tu również nie przewyższa norm naszych miast kresowych.

SAMOCHODY I... OPONY

Samochód w Litwie jest niemal takim samym luksusem, jak samochód w Polsce. Gros maszyn należy bądź do wojska, bądź do rządu, bądź wreszcie do placówek dyplomatycznych przy rządzie młodej republiki akredytowanych. Maszyn prywatnych w Kownie **jest ilość zastraszająco znikoma.** W całem mieście **niema bodajże jednego salonu samochodowego.** Ewentualny entuzjasta, który pragnie kupić wóz, musi **„wypisywać" go z Niemiec czy Łotwy,** kontentując się obejrzeniem... katalogu firmowego.

Mimo to, znakomicie prosperują w Kownie składy opon samochodowych, bo wszystkie dorożki, jak w Wilnie, **koła mają zaopatrzone w opony samochodowe.** Ta kombinacja wywołuje specjalny zachwyt wśród cudzoziemców przybywających z Zachodu.

UBOGO...

Nietylko jednak ubóstwo rynku samochodowego uwidacznia się w Kownie. Wystawy sklepowe robią nader skromne wrażenie, które potęguje jeszcze bardziej fakt, że dla zachęty ewentualnego klijenta, towar zagranicznego pochodzenia **opatrzony jest zwykle rozlicznemi plombami.** Plomby są więc na materjałach angielskich, na niemieckich aparatach fotograficznych, na paryskich pudrach... Słowem, wszędzie, gdzie tylko można.

PO POLSKU

Język litewski gęsto jest przetykany polskim i niemieckim. Są zresztą w Kownie dzielnice, gdzie słyszy się tylko żargon, bądź tylko właśnie polską mowę. Polacy stanowią bowiem np. na Szańcach czy w niektórych odcinkach starego miasta, **olbrzymią większość.** Gdyby jeszcze do cyfry tej polskiej „mniejszości" dodać wszystkich tych Polaków, którzy kurczowo trzymając się możności egzystencji, **w obawie przed redukcją mówią po litewsku,** otrzymalibyśmy kto wie czy nie polską większość!

Zresztą, mniejszość polska w Litwie dzisiejszej to zagadnienie tak skomplikowane, że warto mu poświęcić więcej miejsca.

O 6-ej rano jestem w kościele Św. Trójcy na nabożeństwie polskiem. W Kownie ostał się jeno już tylko ten kościół, **gdzie pozwolono odprawiać polskie nabożeństwa, ale o... 6-ej rano.** W lecie to ostatecznie pół biedy, ale zimą.

W kościele jest pełno.

NAD NIEMNEM

Idę potem krętemi zaułkami nad Niemen, który płynie tu wspaniale szerokiem, nieuregulowanem łożyskiem. Po tamtej stronie rozłożyło się również Kowno, t. zw. Biruta i Poniemuń. Po tamtej stronie jest port lotniczy jedyny, **zachodem Europy pulsujący punkt,** tu bowiem zatrzymują się samoloty potężnego DERU - Luftu utrzymujące regularną komunikację między Berlinem a Moskwą. Tu również jest port lotniczy wojskowy, **oczko w głowie rządu litewskiego i całego społeczeństwa,** które śmiało sięga po coraz to nowe wawrzyny w podniebnym wyścigu.

Potem autobusem, w którym konduktorką jest kobieta, przybrana jedynie w czapkę mundurową, jadę na drugi koniec miasta. Do stóp Zielonej Góry, u której podnóża wyrosło mnóstwo nowych gmachów, u której podnóża również mieści się muzeum wojny i muzeum Witoldowe, a także na obszernym dziedzińcu **grób nieznanego żołnierza.**

„PAŁAC" PREZYDENTA

Mijam po drodze zbutwiałemi sztachetkami otoczony pałac prezydenta. Biały, więcej niż niepozorny budynek. Kiedyś była to siedziba gubernatora. Dzisiaj powiewa nad nią malinowa chorągiew z białym trójzębem, a przy wejściu, pod blaszanym daszkiem chroni się od zbyt dokuczliwego słońca warta wojskowa. Od ulicy strzegą pałacu głowy państwa dwaj znudzeni policjanci. Umieszczony w trójkącie ulic najbardziej hałaśliwej, bo **kupieckiej dzielnicy miasta,** biały skromny dom chroni się przed tym hałasem gęstwiną drzew sporego parku pałacowego.

Całość skromna, prawie uboga, jak na siedzibę prezydencką. Równie zresztą skromnie przedstawia się gmach prezydjum rady ministrów. Wcale nie reprezentacyjny, archaiczny, jednopiętrowy budyneczek.

STOLICA JUTRZEJSZEJ LITWY

Ale... w Kownie dzisiejszym **jest tyle najrozmaitszych urzędów, tylu urzędników...**

Zębata wagonetka wciągnęła mnie na wierzchołek Zielonej Góry. Tu już niema asfaltów. Ulica piaszczyste, parterowe typowo rosyjskie drewniaki, słupy telegraficzne biegnące w sino - zielony bezkres i **cisza prawie stepowej mieściny,** w którą wsącza się z dołu płynący gwar nowego Kowna, **rosnącej stolicy Litwy jutrzejszej.**

Wł. Popławski.

CZY ZABRAKŁO POLAKÓW?

Dużo się ostatnio pisze o genjalnym Kiepurze, wspaniałym śpiewaku, świetnym kupcu, doskonałym patrjocie, niezrównanym myślicielu i światłym polityku. Stąd się aż tyle zalet wzięło w jednym łysym człowieku? Na marginesie hurra - patrjotycznych wyczynów naszego mistrza wartoby jednak zapytać go o kilka szczegółów, napozór drobnych, **ale niemniej charakterystycznych i szerszemu ogółowi często niewiadomych.**

Gdy mistrz śpiewał na Placu Marszałka Piłsudskiego w Święto Morza, Polska Agencja Telegraficzna nakręciła 60 metrów jego wyczynu. Zdaniem wszystkich fachowców zdjęcia **i dźwięk wyszły doskonale.** Pomimo tego mistrz Kiepura zabronił kategorycznie wyświetlania tych zdjęć w tygodniku PAT-a, nie podając żadnych konkretnych powodów. A szkoda! Przecież nie wszyscy mogli być na Placu i nawet nie wszyscy mogli słuchać transmisji radjowej!

A teraz druga sprawa. Kiepura zatrudnia stale dwóch sekretarzy. Prasa podała ich życiorysy, podobizny i t. d. i t. d. Nasuwa się tylko jedno pytanie. Dlaczego wielki patrjota Kiepura zaangażował cudzoziemca, który dopiero teraz zaczyna cię uczyć języka polskiego, jak triumfalnie głosiła prasa brukowa? Czy nie znalazł w całej Polsce człowieka władającego kilkoma językami? Nie mamy oczywiście nic do zarzucenia owemu sekretarzowi, który, sądząc z nazwiska, musi **być Rosjaninem,** ale uważamy, że bardziej patrjotyczny byłoby w tym wypadku zatrudniać Polaka. Albo też nie trzeba się afiszować swoim hurra - patrjotyzmem.

Rodzice naszego mistrza podali w wywiadzie, że Kiepura zdecyduje się zagrać w polskim filmie dopiero wtedy, kiedy **atelier filmowe będzie stosowniejsze.** Kiepura senior twierdził nawet, że w związku z tem zacząto już przebudowywać jedno z atelier. Nic dziwnego, przecież nasze atelIers nie były przygotowane do przyjęcia tak wielkiego człowieka!

(h.)

Tydzień ubiegły

Jeden z niezależnych dzienników prowincjonalnych wydrukował następujące zestawienie, pod tytułem: „Fakty, które krzyczą!“ —

Fakt pierwszy

B. starosta pow. działdowskiego Dr. Twardowski został skazany na kilkuletnie więzienie za nadużycia władzy i przywłaszczenie sobie pieniędzy publicznych.

Fakt drugi

Przeciwko b. staroście pow. świeckiego p. Krawczykowi toczą się dochodzenia prokuratorskie za przestępstwa podobnej natury, za jakie skazany został Dr. Twardowski.

Fakt trzeci

Rada Powiatowa powiatu grudziądzkiego uchwaliła jednomyślnie skierować do prokuratora sprawę nadużyć i lekkomyślnej gospodarki w powiatowej K. K. O.

Straty w tej kasie, wynoszą 2 miljony złotych. Sumę tę przez 50 lat będzie płacić ludność powiatu grudziądzkiego.

Fakt czwarty

Przeciwko gospodarce Starostwa i Wydziału Powiatowego w Nowem-Mieście toczą się dochodzenia.

Fakt piąty

Władze sądowe i śledcze wszczęły dochodzenia przeciwko b. staroście pow. włocławskiego p. Murmyle, któremu stawiane są zarzuty pobierania łapówek, nadużycia władzy i brak dozoru.

Fakt szósty

Żona prezesa Sądu Apelacyjnego w Krakowie Parylewiczowa, przebywa w więzieniu, pod zarzutem pobierania łapówek i wyrabiania posad za pieniądze.

Fakt siódmy

Prezes sądów grodzkich w Warszawie Jeruzalski podał się do dymisji i dymisja jego została przyjęta w okolicznościach bardzo nieprzyjemnych. Jak donosiła prasa, w domu, p. prezesa w Warszawie przy ul. Marszałkowskiej 40 — uprawiany był nierząd. Sprawa ta będzie przedmiotem rozprawy sądowej we wrześniu.

Fakt ósmy

Trzej posterunkowi z posterunku Nowosiółki Niskie (woj. lwowskie) stawało przed sądem pod zarzutem zamordowania aresztanta i wrzucenia go związanego do rzeki.

Fakt dziewiąty

Jak donosi prasa warszawska, inż. Turandt, wyższy urzędnik Polskiego Radja, oskarżył policję w Jeziornie i Konstancinie (pod Warszawą) o zamordowanie w areszcie policyjnym swego brata“.

Powyższą litanję, dziennik ów opatrzył uwagą: „Narazie tyle. Wyciągnięcie wniosków z tych faktów pozostawiamy czytelnikom“. —

Mamy właśnie to zamiar uczynić.—Lecz przedewszystkiem musimy do tej „list dziewięciu faktów“ dodać bardzo niepokojący i smutny fakt dziesiąty:

Oto skutkiem masowego stosunkowo ujawnienia szeregu afer, starannie tuszowanych zwykle, za rządów grupy pułkownikowskiej — w społeczeństwie, a raczej w mniej krytycznej jego części, pojawiła się psychoza, histeryczne nastawienie, że cała administracja państwowa, wszyscy, a przynajmniej większość urzędników — to... aferzyści, złodzieje i kombinatorzy, którzy jeśli nie dziś, to napewno jutro, zasiądą na ławie oskarżonych.

Psychoza ta jest prostym skutkiem atmosfery bagna, w które wepchnęła życie publiczne osławiona „doktryna“ „trzymania za mordę“ społeczeństwa.

Dziś, uważa ono, że cytowane przez nas fakty, to początek, awangarda niejako cyklu afer biurokracji, o której grzechach szeptano sobie tyle potworności, bezkrytycznie przyjmując każdą najohydniejszą plotkę i pogłoskę.

Poprostu ludzie nie mogą uwierzyć, by rząd sam ze siebie, wziął się do wypalania raka nadużyć. Nie wierzą, bo ciągle jeszcze żyją w trujących miazmatach „systemu“.

Wnioski z zestawienia zamieszczonej na wstępie listy i przytoczonej reakcji pewnych odłamów społeczeństwa dadzą się ująć następująco:

1) Jest rzeczą ze wszechmiar godną pochwały, że rząd zdecydował się zerwać z taktyką tuszowania łotrostw i wystąpił zdecydowanie do walki z nadużyciami.

2) Przy energicznem stosowaniu tej metody „au fond“ t. j. w myśl słów premjera Składkowskiego o pociąganiu do odpowiedzialności „prezesów“, czyli tych w tym wypadku, którzy przez swe zarządzenia, niechlujstwo, lub głupotę — stali się przyczyną powstania czy też prosperowania afer — kraj szybko opanuje wspomnianą przez nas histerję i nabierze pełnego zaufania, że nietylko „małych łotrów się wiesza, a wielkich puszcza wolno“, lecz, że żadne łajdactwo nie przechodzi bezkarnie, bez względu na to kto i w imię czego je popełnił.

3) Uświadomienie sobie zaś tego przez społeczeństwo, będzie najlepszą podstawą do odzyskania zaufania, o które zabiega rząd.

4) Złożywszy więc nieoczekiwaną psychozę pewnych odłamów społecznych na karb zabagnienia stosunków przez osławioną grupę colonel'ską — należy zanotować z uznaniem pozytywny stosunek kraju do akcji rządu.

5) Z tego zaś wypływa wniosek dla rządu właśnie, że każda — bezkompromisowo, aż do ostatniego choćby najwyżej zawieszonego ogniwa — wykryta afera — wzmacnia i rozszerza ową podstawę zaufania społecznego.

Takie oto wnioski nasuwają się po przeczytaniu cytowanej na początku litanji „dziewięciu faktów“.

Ignis.

Czyżby naprawdę?...

... w związku z ostatnią aferą dopingową, jaka rzekomo miała miejsce w stajni Mieczkowskiego, w sezonie jesiennym, obowiązywać mają na torze wyścigowym specjalne obostrzone przepisy zapobiegające podobnym machinacjom? Sprawą tą bardzo energicznie zajęły się czynniki kompetentne z. terenu Ministerstwa Rolnictwa, a także władze bezpieczeństwa stolicy.

✱

... w tych dniach odbył się w Krakowie ślub córki jednego z największych potentatów finansowych żydowskich, przytem znanego działacza społecznego na terenie żydowskiej gminy wyznaniowej? Posażna jedynaczka ofiarowała swą rękę, serce, a co nadewszystko miljony przystojnemu vor-danserowi, znanemu z paru bardzo skandalicznych afer.

✱

... od sezonu miał powstać w Warszawie kameralny kabaret literacki, prowadzony przez 2 bardzo utalentowanych poetów: Świątopełka Karpińskiego i Janusza Minkiewicza? Byłaby to niewątpliwie bardzo ciekawa i sympatyczna impreza.

✱

... Wielka Operetka na Karowej zamierzała wystawić w sezonie jedną z najpopularniejszych operetek t. zw. żelaznego repertuaru, przyczem w rolach tytułowych wystąpiłyby gwiazdy dawnej operetki, a więc: Lucyna Messal, Szczawiński, Redo i in.?

✱

... szereg amerykańskich biur filmowych w związku z ograniczeniami dewizowemi, przystąpił do likwidacji swych agend na terenie Rzeczypospolitej? Jeśli pogłoska ta jest prawdziwa, niezadługo na ekranach naszych kin będziemy oglądali jedynie stare obrazy, zakupione przed wprowadzeniem ograniczeń dewizowych. Miła perspektywa.

✱

... potomek jednego ze znakomitszych rodów polskich, magnat o imponującym nosie i krzaczastych brwiach, robił najlepsze interesy dzięki posiadaniu wyjątkowo urodziwej... żony? Smutne i przykre.

✱

... nasza znakomita gwiazda p. Marysia Balcerkiewicz przywiozła sobie z zagranicy pieska, który ma utrwaloną na wspaniałej obroży następującą informację: „Nazywam się Fifi, jestem właścicielką Marysi Balcerkiewicz, z którą razem mieszkam w Warszawie przy ul. Matejki 4“? Fifi stanowczo powinna obrożę swą odstąpić komu innemu.

FRASZKI

NA „SÓL NARODU“ (JAK SIEBIE NAZYWA... SANACJA)

Jedno pewne, moi mili —
Nadtoście już... przesolili!

NA „ŻYCIE SUROWE“ ELITY

Bądźmy szczerzy —
Kto w to wierzy?

NA „WZMOCNIENIE SYSTEMU“ WEDŁUG RECEPTY PUŁKOWNIKÓW

Sposób na to ma prosty być i całkiem nowy:
STRACHEM w masach entuzjazm wzbudzić — przymusowy.

NA AKADEMIKA W. RZ.

Chciał Lwów oddać Ukraińcom i — (snać z racji... premji) —
Za tak wielki... „patrjotyzm“ — siedzi w Akademji.

NA POSUNIĘCIA NASZEJ POLITYKI ZAGRANICZNEJ

Społeczeństwo wie o nich z prasy, a zaś prasa —
Z biuletynów... Reutera, i z depesz... Havasa...

NA „BIURO AKCJI“ PRZY PREZYDJUM RADY MINISTRÓW

Pono ma się zmienić, (choć wbrew pewnym sferom) —
Na... „Biuro Reakcji Przeciwko Aferom“.

NA OPINJĘ CATA O RADYKAŁACH SANACYJNYCH

„... Wrócą do kawiarń skąd przyszli“
„Słowo“.

...I „wrócą do kawiarń“ — a skąd Pan wie o tem?
„Wrócą“ — jasne, a dokąd? — zobaczymy potem!

NA CZĘSTE AFERY

Wniosek przecież to nie nowy,
Że „ryba cuchnie od głowy“.

O. Set.

Gang ma głos!

Rodzima prasa filmowa jest na smutnym i szarym horyzoncie naszej rzeczywistości przyjemną i bardzo kolorową plamą. Żaden dodatek humorystyczny, żadne dowcipuszki kawiarniane nie potrafią tak znakomicie ubawić człowieka posiadającego poczucie humoru, jak właśnie enuncjacje **publikowane na łamach prasy filmowej,** czy to w postaci artykułów czy ogłoszeń.

Weźmy dla przykładu zapowiedzi polskich filmów pełnometrażowych: „Dwa dni w raju“, „Ada to nie wypada“, „Bolek i Lolek“, „Jadzia“, „Fredek uszczęśliwia świat“, „O tem marzą kobiety“, „Idł mit'n fidł“, „Jutro będzie lepiej“, „Frejliche Kapconym“...

Tu godzi się zaznaczyć, że z zapowiedzi wynika pewne jakgdyby odprężenie jeśli idzie **o monopol kiczarzy.** Więc sławny Misza Waszyński — polski Cecil B. de Mille dla bardzo ubogich, reżyseruje bodajże tylko jeden film, oczywiście produkcji niemniej sławnego Ziutka Rosena, no i oczywiście z Dymszą. Obydwaj matadorzy naszego filmu, aż nazbyt dobrze zdają sobie sprawę z tego, że Dymsza jest jedyną i niewątpliwą atrakcją tych kiczów.

Obawą nas napawa epidemja Fetków. Ten dziarski scenarzysta zaczyna produkować en masse. Co z tego wyrośnie — zobaczymy. Wśród nazwisk aktorów z przerażeniem znajdujemy p. Wysocką. Oby znów nie powtórzyło się „kochaj tylko mnie“, bo wtedy publiczność może się rozzłościć i... **„kopać tylko ciebie“.** Lansowanie pp. Barszczewskiej, Andryczówny i Zawadzkiej Haliny, która ma rzekomo wystąpić w tytułowej roli „Ludzi Wisły“, również nasuwa dużo objekcje.

Reżyserja „Ludzi Wisły“ spoczywa w rękach pp. Aleksandra Forda i Jerzego Zarzyckiego. Pan Ford pokazał nam już swoje oblicze, p. Zarzycki jest homo novus, oby nazwisko jego dla filmu **nie stało się równie groźne,** jak analogiczne nazwisko dla literatury polskiej.

Polska Spółka Filmowa, która narodziła się pod sprężystem kierownictwem p. Chamca, a której poświęcaliśmy już trochę miejsca, napawa nas coraz większym niepokojem, chociażby tylko dlatego, że pragnęlibyśmy aby placówka ta **nietylko utrzymała się na powierzchni,** ale żeby pracą swą zniwelowała dotychczas stosowane w naszym światku filmowym metody.

Niestety. W prasie filmowej znajdujemy ogłoszenie filmu „Wielki Mag“, który to obraz znajduje się w posiadaniu Pol. Sp. Filmowej. Ogło-

(Dokończenie na str. 8-ej.

Dokąd warto, dokąd nie...

Teatr — Rewja — Kino

„Casanova“ (Kino „Filharmonja“). — Jeden z najgorszych „kryminałów“ ostatnich czasów, który nie przynosi zaszczytu ani francuskiej produkcji, ani reżyserowi (Rene Barberis), ani znakomitemu bądź co bądź aktorowi Mozżuchinowi, ani wreszcie dyrekcji kina „Filharmonja“.

Film jest „odwalony“ w sposób wulgarny i nieciekawy, Mozżuchin niestety nie nadaje się już do roli Casanovy, którą odtwarzał z takim talentem 10 lat temu w filmie niemym. Szereg wybitnych aktorów francuskich, jak Saturnin Fabre, Madeleine Ozeray, Margerite Moreno i Colette Darfeuil, walczy z beznadziejnością faktury tego filmu i z bezgraniczną nieudolnością realizacji. Jedyna zaleta filmu, to kilka scenek erotycznych w guście starszych panów.

„Broadway Bill“ (Kino „Rialto“). — Chyba nie często zdarza się w kinie, aby publiczność nie mogła usiedzieć spokojnie na miejscu, tylko tupała i biła ze zdenerwowania i podniecenia. A tak właśnie dzieje się podczas wyświetlania znakomicie wyreżyserowanego filmu z życia toru wyścigowego „Broadway Bill“. Film ten zaczyna się od serji scenek satyrycznych, aby potem przejść w serję niezwykłych perypetyj pięknego konia wyścigowego i jego właściciela. Warner Baxter gra, jak zwykle, bardzo przekonywująco rolę młodego żonkosia, którego wyścigi konne interesują znacznie więcej od wyrobu pudełek tekturowych. Obok niego widzimy Myrnę Loy, która z wielkim trudem uosabia podlotka. Całe szczęście, że jej rola nie jest zbyt skomplikowana ani ważna.

Scena wyścigów jest wyreżyserowana przez Franka Caprę w sposób poprostu znakomity. Porywa i oszałamia bodaj więcej, niż... prawdziwe wyścigi! A to już chyba wielkie zwycięstwo. Również klasycznie wykonane są wszystkie sceny poprzedzające derby. W scenach tych odnajdujemy wielkiego reżysera i doskonałego obserwatora.

W każdym razie — z czystem sumieniem radzimy wszystkim amatorom dobrego kina i silnych wrażeń pójście na ten piękny i zupełnie nie „ogórkowy“ obraz.

Nadprogram: wprost rewelacyjna, jak na nasze stosunki, krótkometrażówka Emmera i Maliniaka „Burza“ i wyjątkowo ciekawy tygodnik PAT-a.

„Zbieg z Jawy“ i **„Mecz Schmeling — Louis“** (Kino „Pan“.—Trudno jest pisać recenzję z tego składanego programu, w którym film rozrywkowy zepchnięty został do roli dodatku, a na I-szy plan wybija się film reportażowy z wielkiego wydarzenia sportowego, które nie dla wszystkich jest właśnie... wydarzeniem.

Trzeba być naprawdę fanatycznym wielbicielem sportu pięściarskiego, aby przetrzymać przed ekranem 12 pełnych rund, których wynik jest przecież dawno wiadomy. Przypuszczam, że każdy chętniej oglądałby najważniejsze tylko fragmenty.

„Zbieg z Jawy“, wyświetlany „nadprogram“ nie odznacza się absolutnie niczem specjalnem. Reżyserja George Melforda słaba, temat i treść oklepane, gra aktorów wybitnie nieciekawa z Charlesem Bickfordem na czele.

Program wyłącznie dla fanatyków boksu.

„Alarm w nocy“ (Kino „Atlantic“). — „Alarm w nocy“ był wyreżyserowany przez George B. Seitza, tego samego, który zrealizował film „Porwano kobietę“. Tym razem miał mniej szczęścia, bo treść obrazu jest zagmatwana, często niezrozumiała, djalogom brak dowcipu, a aktorzy są znacznie mniej sympatyczni. Nawet Ricardo Corteza zaopatrzono w ośmieszający wąsik. Virginia Bruce, aktorka bardzo przeciętna, gra bez przekonania rolę potrosze zwarjowanej aktorki, a Regis Toomey, który jest najbardziej sympatyczny, okazał się w końcu aż potrójnym mordercą. Co za pech!!

Nadomiar złego napisy polskie wkopjowane są w białe miejsca, tak, że publiczność nie rozumie nawet połowy z tego, co mówią w tym i tak już zbyt skomplikowanem sztucydle.

Nadprogram: ciekawy reportaż przyrodniczy Marczaków o hodowli jedwabników. Ale na miłość Boską, kto robi Marczakom tak potworne napisy??!! I to niestety w każdym filmie!

Szczerze radzimy pozostać w domu, pomimo dobrej kreskówki!

„Wesoły Don Juan“ (Kino „Stylowy“. — Niedawno, bo jeszcze kilka tygodni temu, we wszystkich prawie kinach stolicy wyświetlane były filmy wytwórni Warner Bros. Prawie we wszystkich tych obrazach straszyła publiczność Ruby Keeler. Obecnie konjunktura się zmieniła i na ekranach znalazł się letni „szmoncesowy“ repertuar Metro-Goldwyn - Mayer. W związku z tem „straszyć“ zaczyna Myrna Loy.

Cóż powiedzieć o takim filmie, jak „Wesoły Don Juan“? Jest dosyć stary, nieciekawy, słabo wyreżyserowany przez George Fitzmaurice'a, który miał kiedyś w swoim dorobku kilka dobrych filmów, i że jest wreszcie nieszczególnie zagrany. Wyjątek w obsadzie stanowi miły Robert Montgomery, czujący się doskonale w tego rodzaju rolach lekkoduchów.

W każdym razie wszystko razem wystarcza, aby pozostać w domu lub pójść do ogródka.

X. 27. —



Menażerja Warszawy

Jego cechą zasadniczą jest — doskonały strój. Ubrany u wiedeńskich krawców za pieniądze wiedeńskiej, łatwowiernej dziewczyny, tu, na szarym bruku warszawskim zadaje szyku i nie mogąc robić nic innego, „kręci“ w filmie. Jest to dlań zajęcie o tyle bardziej nęcące, że daje mu okazję do... bliższych kontaktów z łatwowiernemi dziewczętami, które z nabożeństwem wpatrują się w starannie wygolone, mocno hochstaplerskie oblicze „lwa salonów“ i „producenta filmowego“. W menażerji naszej byłaby dlań najwygodniejsza klatka... łasic, farbowanych na sobole.

Ma na swej hipotece dużo pięknych pozycji. Ale to było dawno, za czasów wojny. Gdy wojna minęła dobry żołnierz, z talentem właściwym swej rasie przemienił się w jeszcze lepszego geszefciarza, nie rezygnując jednakże bynajmniej z godności i zaszczytów, które są dzisiaj dlań znakomitym parawanem i odskocznią do niezawsze najczystszych interesów. Postać jego opasła i obmierzła jest jednak mimo to, dla bardzo wielu, jedną z najbardziej eksponowanych postaci w kraju. My mamy dlań miejsce właściwe, w klatce ze śmierdzielami.

Łączka kretynów

Na łamach „Gońca Warszawskiego“ drukuje interesującą powieść p. E. M. Szerementowski. Powieść ta, pod wiele mówiącym tytułem: „Karjerowicz“ obdarza od czasu do czasu czytelników przyjemnemi niespodziankami. I tak np. p. Szerementowski pisze w odcinku 39:

„Tupiąc, jak szwadron piechoty, przemaszerowali przez hall i zniknęli w mrokach nocy“, a my od siebie kontynuujemy: **„aby ustąpić miejsca baterji saperów i bataljonowi ułanów“.** „Goniec Warszawski“ stanowczo powinien wysłać p. Szerementowskiego na sześciotygodniowy staż wojskowy, bo chociaż znajomość leszczkowskich materjałów jodełkowych w dzisiejszych czasach dużo znaczy, to jednak nie trzeba zapominać o wojskowej tradycji Sarmatów.

Stary pies.

(Dokończenie ze str. 7-ej).

szenie jest bardzo dowcipne, bo oto pod napisem: „o niespotykanej treści“, widzimy obrazek na którem smutny, w drebiezgi zalany facet przygląda się **jak mu łóżko unosi się w powietrze...** pod napisem: „z piękną kobietą“, widzimy istotnie niebrzydką vor - danserkę od Moszkowicza, a wreszcie pod napisem: „z wielkim aktorem“ oglądamy **sobowtóra ex-wojewody Świtalskiego,** bliżej nam nieznanego pana, który rozczapierzywszy palce bezskutecznie usiłuje nas przestraszyć.

Kolego Jeszke, zapewniamy Was, że tak skonstruowanemi ogłoszeniami branżowych jewriejew nie pozyskacie. **To chytry naród...**

Poniżej omówionego ogłoszenia, znajdujemy: „Komunikat radosny“, z którego dowiadujemy się, że dwaj wypróbowali gieroje filmowej czarnej sotni pp. Dżigan i Szumacher, nie martwiąc się bynajmniej niezapłaconem operatorowi Lipińskiemu honorarjum, „na czele doborowego zespołu rozpoczęli już zdjęcia do arcywesołej komedji pg. scenarjusza M. Brodersona p. t. „Frejliche Kapconym“.

Wiadomość ta bardzo nas ucieszyła. Zapewniamy druhów Dżigana i Szumachera, że trudno byłoby nam przeżyć lato gdybyśmy nie dowiedzieli się, że już na jesieni znakomitych „producentów“ będą z zapałem i... **kijami poszukiwać łatwowierni wierzyciele.**

Obserw.

Gwałtu, co się dzieje?

W jednym z dzienników prowincjonalnych czytamy nast. notatkę:

„Dyrekcję Teatru miejskiego w Ostrowie Wlkp. obejmie w przyszłym sezonie p. Marja Szelistowska - Szczęsna, której zarząd miejski powierzył kierownictwo tej placówki w dowód uznania za jej niestrudzoną pracę jako aktorki w ubiegłym sezonie.

Sezon w tym teatrze rozpocznie się 1-go września komedją **Bałuckiego** „Gwałtu co się dzieje“.

I. K. C.

Z Fredry robią Bałuckiego! Nie jest to błąd zecerski, lecz komunikat dyrekcji. Musi być dobra dyrekcja, skoro z Fredry robi Bałuckiego.

PRENUMERATA wraz z przesyłką pocztową lub odnoszeniem do domu zł. 6.— kwartalnie, zagranicą zł. 9.— OGŁOSZENIA: za wiersz wysokości mm. szerokości 1 szpalty, zwyczajne 60 gr., w tekście 1.20 gr. nadesłane 1 zł., Komunikaty 80 groszy. Kolumna posiada 4 szpalty

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Królewska Nr. 35 m. 20, tel. 6.33-66 czynne codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt od godz. 11-ej do 13-ej
Konto w P. K. O. Nr. 15.581

Redaktor i Wydawca: Włodzimierz Popławski

Druk. Nowoświecka, Warszawa, Nowy Świat 57, tel. 2-72-16.